Nr. 296. Czwartek 25 grudnia 1913. Rocznik XXII.

2 K miesięcznie z odsyłką.
Zagranicą miesięcznie 2 M. 30 f., 3 fr. 50 ctm., 2½ szyl. 70 cm. amer.
(Tygodniowo w Krakowie 40 h. z dostawą do domu 46 h.
Cena numeru oddzielnego 8 h.
Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej. — Redakcya rękopisów nie zwraca i bezimiennych listów nie uwzględnia.

NAPRZÓD

Organ centralny polskiej partyi socyalno-demokratycznej.
Wychodzi codziennie popołudniu z wyjątkiem niedziel i świąt.

Redakcya i Administracya Kraków, Dunajewskiego 5.
Telefon Redakcyi Nr. 396.
Telefon Administracyi Nr. 2314.
Konto czekowe Nr. 34.095.
Adres telegr.: Naprzód Kraków.
Dział inseratowy:
Pl. WW. Świętych 11.
Telefon Nr. 1354.
Konto czekowe Nr. 910.
Ceny ogłoszeń: Za miejsce wiersza petitem 20 h. Za miejsce wiersza petitem w nadesłanem 60 h

Wierzymy w lepszą przyszłość.

„Zdawałoby się, że dla ludzi, którzy noszą w sercach nadzieję w zwycięstwo socyalizmu, niema większej radości w dniu Urodzenia Pana nad słowa o państwie Boga i Człowieka na ziemi“, — tak zaczyna swe kazanie świąteczne ksiądz tow. Ragaz w Zurychu.

Zdawałoby się — ale dlaczego te słowa nie są dla robotników radosną zapowiedzią? Ponieważ nie mogą pojąć sprzeczności, leżącej w tem, że w dniu Bożego Narodzenia w całym świecie chrześcijańskim rozbrzmiewają dzwony, głosząc „pokój na ziemi ludziom dobrej woli“, podczas gdy **narody zbroją się do wojny, podczas gdy walka klasowa między kapitałem a proletaryatem toczy się na śmierć i życie.** Radość z Bożego Narodzenia przychodzi akurat w czasie, kiedy **nędza mas** z jednej, a **zbytek garstki** z drugiej strony napawa ludzi goryczą i odbiera im wszelką radość z życia.

Od lat każde święto przywodzi nam przed oczy tę sprzeczność: raz powoduje ją tocząca się **wojna**, drugi raz **przesilenie ekonomiczne**, a oba te zjawiska pociągają za sobą **ofiary z krwi i życia proletaryatu.** A mimo to **nadziei nie tracimy** i choć nas uważają za „bezbożnych“, my również wybraliśmy koronę cierniową jako symbol. Różnica między nami, a „wierzącymi“ leży w tem, że **nasza wiara obejmuje ten świat,** podczas gdy tamci swą wiarę i swe nadzieje przenoszą — na tamten świat.

Albowiem ci, którzy pracują i cierpią, przebudzili się. Władcy tego świata starają się **utrzymać ich w ciemności;** w miastach i centrach przemysłowych ścisnęli masy, aż tym przyszła świadomość, że **złączeni są siłą, niemożliwą do pokonania.** Bajki i cuda, którymi świat kapitalistyczny karmił te masy, nie znajdują już u nich wiary; ci, których kapitał, nie mogąc ich **pokonać,** starał się **oszukać,** wiedzą już, w co mają wierzyć i czemu mają zaufać.

Masy, **obudzone do myślenia, a więc do życia,** uznają w socyalizmie swój ideał, swoje zbawienie. Wierzą one w siłę swą, jak wierzyły w swą **nędzę;** wiedzą one, że **ta nędza wytworzyła w nich wolę do potęgi.** Ta wola doprowadzi ludzkość do szczytów kultury; ta wola sprowadzi **przewrót ku coraz doskonalszym formom życia** i wytworzy nowe pokolenie, którego ideałem będzie: **przez siłę do światła!**

Budowa kanałów w Galicyi.

Jak wiadomo, budowa kanałów spławnych wedle ustawy z roku 1901 miała się rozpocząć w r. 1904. Kanał Dunaj—Odra—Wisła miał być wykończony i oddany do użytku w roku 1912, kanał zaś Wisła—Dniestr w drugim peryodzie budowy, t. j. do roku 1924.

Mimo interpelacyi i nagłych wniosków ze strony posłów socyalno-demokratycznych, rząd, pewny stałego i niezmiennego poparcia Koła polskiego, nie spieszył się z wykonaniem sankcyonowanej ustawy. Dopiero w roku 1910 pod naporem gminy miasta Krakowa, celem ochrony miasta przed powodziami, rozpoczął zrealizowanie części projektu kanałowego, t. j. skanalizowanie Wisły pod Krakowem i roboty te, t. j. bulwary i kolektory (bez jazu w Dąbiu), są na ukończeniu. Jazu na Wiśle w Dąbiu nie rozdano do budowy, gdyż o rozpoczęciu budowy właściwych kanałów spławnych, z którymi jaz ten jest w związku, rząd jeszcze seryo nie myślał. Dopiero pod naciskiem opinii publicznej, rozdmuchanej zwłaszcza podczas ostatnich wyborów, rząd, chcąc ratować przed nią swych pachołków z Koła polskiego, z wielką pompą, z biskupami i procesyami urządził w Brzeźnicy otwarcie budowy kanału galicyjskiego przed dwoma laty.

Oddano istotnie wtedy losy III i IV, razem 12 klm., do budowy firmie Rodakowski - Sosnowski-Zachariewicz. W parę miesięcy później w r. 1912 oddano los V, t. j. 4·5 klm., firmie Karol Corazza, a z wiosną b. r. los II, t. j. 6·5 klm., firmie Kurkiewicz.

Firmy oferowały na te roboty stosunkowo dość nisko, gdyż te 23 klm. budują za około 8 milionów koron, co jednak mści się w czasie budowy na postępie robót, gdyż z powodu niskich płac brak dostatecznej ilości robotników ziemnych. Jednak mimo to roboty postępują normalnie naprzód.

Firmy, w nadziei, że rząd będzie rozdawał dalsze losy do budowy, porobiły duże inwestycye na odpowiednie narzędzia pracy, jak bagry, lokomotywy, wózki do przewozu olbrzymich mas ziemnych, pompy i t. d. Tymczasem, jak słychać, **rząd o rozdawaniu dalszych losów nie myśli.** Dla przestrzeni od Dziedzic do Zatora, obejmującej 33 klm., przeprowadzono przed dwoma laty rewizyę trasy, a nie zdołano dotychczas przeprowadzić jeszcze komisyi obchodowej.

Na przestrzeni od Skawiny do Krakowa, obejmującej 12 klm., przeprowadzono w roku bieżącym komisyę obchodową, ale **o wykupnie gruntów ani słychu.**

Na przestrzeń od Wisły do Dniestru wysłano, jak doniosły dzienniki, w ostatnich dniach kilku

G. DANIŁOWSKI.

Nasza choinka.

Pomiędzy Modrzejowem, Mysłowicami i Sosnowcem zbiegają się słupy graniczne panowania Austryi, Rosyi i Prus.

Przybite do nich potworne orły bratają się swemi drapieżnemi skrzydłami i pięć czarnych głów wpatruje się czujnie w miejsce, gdzie się zrastają zabory Polski, rozdartej kordonami straży w zielonych lampasach, straży w pikelhaubach i w sztywnych wysokich kaszkietach.

— Kto idiot?!

— Wer da?! — pyta groźnie władca.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus — odpowiada pokornie niewolnik.

Okolica tu płaska, zawalona kadłubami, stękających nieustannie fabryk, wybujała wieżycami kominów, oplątana szynami kolei, kurzawą czarnego pyłu, obłokami dymu opowita — czarna od węgla, od rud żelaza rdzawa.

Ziemia, jak gdyby ze zwartego kiru i skrzepłej krwi zlepiona — tem bogata. Przychodzi po ten łup do niej z dalekich stron obcy robić sobie pieniądze. Ściągają ze wszystkich krańców chłopi, by tu zarabiać sobie ręce.

Pierwsi zyskują dywidendę, drudzy — śmierć pod płotem...

Taka już dola!

Mizernie tu lud wygląda, ale jeszcze nędzniej i obdarto jego ziemia.

Wygorzała jej zieleń, wychlastane lasy, wytrzebione bory, uschły złote łany falującego zboża — lemiesz, który równo układał jej skiby, skręcił się w świder, by wyborować głębokie sztolnie, podkopać je długim chodnikiem, poszarpać z wierzchu, potłuc wnętrze kilofem, wystrzelać dynamitem i wypatroszyć do cna.

Grunt jej zakląsł się miejscami, jak pierś suchotnika, popękał w rozpadliny, wzdął się worpami, jakby olbrzymim kretowiskiem żyjących pod spodem górników — jałowy, próżny wydał hołdy kamieni pustych, kopce płonnego iłu, na którym badyl nie porasta, ptak nie zaśpiewa, nie złoży motyl tęczowych skrzydeł... Rzeki niema, ale wypędzona woda zaskórna tworzy grząskie topiele i brudne zalewy, w których najbielszy obłok wygląda, jak zmięta szmata, a gorejąca gwiazda, jak mętne oko oliwy.

Tu się bawią zniekształcone angielską chorobą drobne bezdomne dzieci; czasem wyciągną zdechłego kota lub szczura, czasem z kolei ciągną gromadą szczury, zwęszywszy rozpuchły trupek małego topielca.

I choć kipi wokoło praca w dzień i w noc, pejzaż czyni wrażenie niezmiernie smutne, przygnębiające, senne i umarłe.

Czuć ból zabity w sponiewieranej ziemi, w steranych twarzach, w starganych ramionach.

W panującym ruchu słyszy się jakiś takt mechaniczny, martwy zgrzyt nieubłaganego koła, który bezlitośnymi zębami trybów zaczepia o wszystko, co żyje i wpędza w płonące czeluście hut, w wieczną noc szybów, gdzie ślepną konie i skarbnik porywa ludzi.

Tak trwa rok cały, ale w przeddzień Bożego Narodzenia, grzmot pracy ucicha, pod wieczór milknie i tylko topielnie żelaza, które nie znają spoczynku, sypią iskry i mieczami bladego ognia rozcinają łono ciemności.

Tak jest i dziś w wigilię.

Zatrzymało się nieustanne kucie, uśmierzył się turkot i wark, i noc odzyskała dawną potęgę swej ciszy, majestat spokoju, władzę czaru, moc stworzenia marzeń i snów, którymi u wezgłowia najbiedniejszej sieroty stawia jarzącą choinkę.

Więc i Polsce w tem miejscu właśnie, gdzie zrasta się jej ciało, między Mysłowicami, Sosnowcem i Modrzejowem, wybrała świąteczne drzewo.

Była to stara, olbrzymia choina, rozszczepiona u dołu piorunem. Sploty jej pokręconych korzeni, rozłożyste konary, nie znając granic, poprzerastały poza kordony i w zdrowym rdze-

techników, prawdopodobnie dla zamydlenia oczu, że coś się robi, że rząd „zamierza“ i t. d.

Chodzą słuchy, że rząd ma jeszcze z wiosną zdobyć się na rozdanie połowy I losu od Zatora, by mózg do będącej obecnie w budowie przestrzeni napuścić wody i na tem na razie ma być **koniec.** Resztę ma się zostawić na lepsze i pomyślniejsze czasy. Brak pieniędzy na te cele, jako argument dla przekupniów z Koła polskiego ma wystarczyć i muszą siedzieć cicho.

Z zagwarantowanych więc ustawą z roku 1901 700 kilometrów kanału dla Galicyi zaledwie 23 klm. w roku 1914 jest w budowie, co jako „niesłychaną dla kraju zdobycz“ Koła polskiego, dla uśpienia opinii publicznej okrzykują.

Jednak rządowi zwlekać z budowlami dłużej nie wolno. Kraj zniszczony dwuletniemi ulewami, nieurodzajem, mobilizacyą, ściganiem emigracyi, duszony wysokiemi cłami, bez sejmu i uchwał potrzebnych dla rozpoczęcia budowli krajowych i gminnych, przeżywa straszne przesilenie, popada w ostateczną beznadziejność i **rząd beznadziejności tej powiększać nie śmie i nie może.** Kraj ten, to przyszła podstawa operacyjna w konflikcie z Rosyą. Z tego sobie rząd zdać raz sprawę powinien, jeżeli sobie jej nie zdają skorumpowani szwindlami wyborczymi i łapówkami kraju tego „reprezentanci“, których odruch do rozpaczy doprowadzonej ludności lada chwila może zmieść z powierzchni publicznego życia.

Smutne refleksye.

Najgorsze czasy upadku Rzeczypospolitej polskiej przypominają się, gdy rozważamy politykę polskiej klasy rządzącej. W ostatnich dniach odkrył się przed nami szereg faktów tak charakterystycznych dla oceny polityki warstwy szlacheckiej i mieszczańskiej, że nieraz wzdrygnąć się trzeba wobec nich i zapytać, skąd tyle nędzy moralnej?

Cała polityka Koła polskiego bez różnicy partyi (o jednostkach nielicznych nie mówimy!) **była kupowaną za pieniądze rządowe!**

Od „góry“ aż do społecznego „dołu“ wszystko brało pieniądze z Wiednia od ministrów, z funduszów „gadzinowych“ na przekupowanie całego kraju!

Kiedy się czyta historyę rozbiorów Polski, zdumienie ogarnia, że najwięksi magnaci nie wahali się brać marnych sum od Katarzyny II. Ale czyż dziś, po stu latach, jest lepiej? Czy nie widzimy **partyi najbogatszych ludzi w kraju,** owej **„Prawicy narodowej“,** jak bierze względnie skromne datki z „funduszów gadzinowych“, aby płacić nimi hyeny wyborcze i kupować głosy!

Do „Prawicy“ należą Potoccy i Tarnowscy, którzy mogliby dać **krocie** na cele swojej partyi, bo biorą w samych podarkach rządowych **miliony** (kontyngenty spirytusowe!), ale to nie przeszkadzało „Prawicy“ łakomić się np. w r. 1913 na marnych 100.000 koron!

A jak wyglądają „moralni“ posłowie, tj. ci, co w dwóch ostatnich latach pieniędzy nie brali od rządu, dla tej prostej przyczyny, że rząd nie dawał?...

Ci chodzą, jak maruderzy po bitwie i obdzierają trupy i rannych... Tacy **endecy** np. mają wprost polityczną słabość do „brudnych“. **Stojałowski** był ich łupem, gdy się zbrukał tak, że powrót sobie odciął do warstw ludowych. Teraz **Długosz** rzucił się w błotną kąpiel, więc endecy zbliżają się do niego i do jego grupy, żeby ich zagarnąć i — wyzyskać.

Ciekawe jest, że nikt z **wyborców mieszczańskich** nie zwołał ani jednego zgromadzenia w kraju, że nie podjęto żadnej akcyi, aby pociągnąć do odpowiedzialności **szachrajów** politycznych! Przeciwnie, gazety burżuazyjne są dumne z tego, **że nie podały treści mów socyalistów!** Cały świat wie, co było w sobotę w parlamencie, tylko Galicya ma tego nie wiedzieć!

Temu obozowi oszustów politycznych zdaje się, że okłamać potrafią cały kraj, całą Polskę, cały świat! Nie potrzebujemy oczywiście zwracać uwagi, że to kłamstwo galicyjskie będzie miało bardzo krótkie nogi... Polscy socyaliści postarają się, by prawda dostała się z parlamentu do szerokich warstw ludowych.

O pomoc dla bezrobotnych

Gdyby nędzę społeczną można uleczyć dobremi chęciami, albo pięknemi mowami, możnaby spodziewać się rychłego rezultatu w akcyi przyniesienia pomocy masom, pozbawionym obecnie pracy i zarobku. Niektóre gminy, np. ostatnio Wiedeń, okazują — na razie platoniczną — chęć zaradzenia klęsce; akcya rządu jednak, który w pierwszym rzędzie jest powołany do zaradzenia choćby z tego tytułu, że jego polityka głównie obecny stan spowodowała, jest tak małoznaczną, że skutki jej są niewidoczne i nie przynoszą też najmniejszej ulgi. W tych czasach, kiedy tysiące ukwalifikowanych robotników albo wcale niema zajęcia, albo zmuszone są pracować jako robotnicy dzienni, naturalnie za małą zapłatą, rząd liczy widocznie tylko na pomoc prywatną, na pomoc, dawaną przez organizacye zawodowe, podczas gdy sam niczem się nie przyczynia.

Nie pora teraz, kiedy ludzie mają nóż n' gardle, mówić o ubezpieczeniu przeciw bezrobociu. Przyznajemy, że kwestya ta przedstawia jeszcze liczne trudności i nie liczymy, aby zostały one rychło usunięte. U nas niema dotąd ubezpieczenia na wypadek starości i niezdolności do pracy, które Niemcy mają już od ćwierć wieku, trudno więc marzyć o zaprowadzeniu najwyższego stopnia ubezpieczenia: od braku pracy. Tymczasem nędza nie czeka i wymaga natychmiastowej pomocy, jeżeli tym czynnikom, które za losy społeczeństwa ponoszą odpowiedzialność urzędową, sprawa niema wyrość ponad głowę.

Słyszeliśmy tyle szumnych słów o akcyi rządu, specyalnie dla Galicyi. Jakie to sążniste komunikaty rozsyłano prasie o „akcyi“ p. Długosza, kiedy to jeszcze był ministrem i nie prowadził jeszcze jawnej walki ze Stapińskim; czytaliśmy o budowach już rozpoczętych, a jeszcze więcej o projektowanych; widzieliśmy wydrukowane milionowe cyfry, przeznaczone na danie zajęcia ludziom. Czy widzi ktoś w Krakowie, Lwowie itd skutki tej „akcyi“? Czy choć drobny procent bezrobotnych korzysta z tych obiecanych „dobrodziejstw“?

Smutne to święta, jakie religia i zwyczaj każą ludności teraz obchodzić. Tysiące rodzin bez swej winy, mimo swej najszczerszej chęci do pracy, mimo poświęcenia dni i nocy na wyszukanie najskromniejszego zarobku, nie może nawet marzyć o uroczystem obchodzeniu świąt tam, gdzie u nich święto — czas wolny (przymusowo) od pracy — trwa już od tygodni i miesięcy. O tych rodzinach, które nie mogą i nie chcą żebrać, które nawet do tak zwanego „miejskiego biura dobroczynności“ nie chodzą, nikt nie pomyślał. A przecież są to ludzie, którzy latami przysparzali kapitalistom dochodów, a społeczeństwu przyczyniali dorobków kultury.

Do kogoż ma apelować robotnik, pozbawiony bez swej winy pracy? Kto ma obowiązek pomyśleć o nim, nie dać mu upaść na samo dno nędzy? Różne są w państwie, kraju i gminie czynniki, które są „kierownikami społeczeń-

niu jej pnia krążyły soki trzech dzielnic. Wysokopienna, potężna wznosiła się wspaniale na kobiercu prastarych mchów, stosie igliwia i szyszek, który usypała sobie w ciągu wieków.

Nielada musiał być wicher, by nią wstrząsnąć, nielada śnieg, by ugiąć jej gałęzie, a teraz drżała jak wątła osika, choć cicho było i odwilż.

Okrutnym dreszczem przejmowały ją nagromadzone u stóp upominki, gorzkie dary, szydercze gwiazdkowe prezenty.

Była to pruska laurka: powinszowanie wywłaszczenia, zsiekane pęki rózg; zastygła struga łez dziecięcych, tablice do mimicznych wieców, cygańskie wózki dla chłopów, stenogramy nikczemnych mów panów, portret Róży Luksemburg w tandetnej oprawie jej wielbicieli i inne drobiazgi pruskiej marki.

Ze swojskim stemplem walały się drzazgi reformy wyborczej, obok owinięte w „Słowo Polskie“ trąbki, gwizdawki, instrumenty orkiestry rusińskiej, jakby kanalik drewniane koryto pełne niebieskich migdałów, wygłodzone egzemplarze nauczycieli i urzędników i dodatek drożyźniany w postaci figi.

Najpokaźniej jednak przedstawiały się podarki złożone Królestwu: para kłódek do zamykania ludzi i instytucyi, rozmaitego typu kajdanki, zwój stryczków, krwawy wycinek Chełmszczyzny, okrawki samorządu polukrowane oblicie dziegciem, kosz kukiełek litwackich, utwory p. Dmowskiego po 2 grosze sztuka koło-wiatraczek obracający się w próżni, i bohaterskie zwłoki ze stoków cytadeli, z bruku Łodzi, Radomia, Warszawy, z tundr i tajg — okropne trupy, postrzelane, poduszone, z rozłupanemi czaszkami, które się tu przywlokły i usiłowały powstać, by przełamać się raz jeszcze wigilijnym opłatkiem, ale dźwignięte, wpadały się w ziemię i wczołgiwały napowrót w męczeńskie mogiły.

Wzdrygnęła się boleśnie choina aż zadrgały wiszące sznury łez i wpełgały żółte światła kilku, jak na urągowisko przylepionych gromnic, by jaśniej było widać upominki Polsce złożone. Na blask świec zlatywały się zewsząd nocne ćmy, nadciągały stada kruków, kawek, wron i czyniły szwargot jak na Kazimierzu, lub na księżym odpuście.

Pomiędzy czarnym mrowiem uwijały się wygadane sroki, czyniąc iście dziennikarską wrzawę.

— Precz z Polską! — kwiliły kawki.
— Polska w Rzymie! — krakały kruki.
— Polska — to my! — skrzeczały sroki.

Aż zbuntowała się olbrzymia choina, wstrząsnęła się i raptem jakby zastygła, pień jej stężał, zesztywniały wszystkie gałęzie, nastroszyły się srogo igły i stało się niezmiernie cicho.

Zamarło ptactwo, pierzchły ćmy, a gwiazdkowe prezenty przywarowały do ziemi.

Z królewskiej korony począł się sączyć czerwony ogień, nie do zwiewnego światła podobny, ale do krwawej miazgi, która jakby wyłaniała się ze rdzenia, do ruchomego szkarłatu, który wzdymał się, zwijał i rozwijał, a w fałdach jego migotały groźne płomienie, jak wytryski płynnej krwi.

Łopotał niby wyrywający się gwałtem z usidleń purpurowy ptak, szarpnął się mocno, podniósł wysoko i jak ogromne skrzydło na pół nieba aż po horyzont się rozwinął w gorejący sztandar ze świetnym, płomiennym, bojowym zawołaniem.

Zajarzyła się wspaniale jego jaskrawą łuną polska choina, zajęły się tablice graniczne, zatliły się szydercze podarunki.

Na alarm tego pożaru wypadły z domów ludzkie rzesze przypatrzeć się swojemu drzewu i uniesiony tłum huknął na cały świat kolędę:

Bóg się rodzi — moc truchleje...

A od potężnego jej głosu leciały w drzazgi malowane orły, rozsypywały się, jak próchno i padały słupy graniczne, podnosił się zapalny wicher, stukał we wrota wiosek, bił w bramy miast, szumiał po strzechach, po szybach brzęczał, po dachach dzwonił — rozruchem i szczękiem napełniał polską ziemię.

Śpiew grzmiał, rosły tłumy i szły, szły, formując groźne zastępy, regularnym marszem aż dudniała ziemia — po gwiazdę własną.

stwa", które z urzędu i z obowiązku mają troszczyć się o zdrowie, bezpieczeństwo i życie tego społeczeństwa. I troszczą się: jednych zamykają do więzienia, drugich odsyłają do miejsc przynależności, trzecich urzędownie uznają żebrakami — tyle opieki społecznej okazują czynniki do tej opieki powołane.

W dzień święta przypominamy tym czynnikom, że ogromna rzesza ludzka w kraju ma prawo do innego rodzaju opieki; ma prawo żądać, aby za tyle ofiar, dla ogółu poniesionych, pomyślano także i o ofiarach dla nich; ma prawo upomnieć się o prawo do życia! Głód jest złym doradcą — to chyba wiedzą ci, którzy sami głodu nie doznają i pilnują, aby głodni nie poszli za temi radami. Minęła jesień, stoimy w środku zimy i każdy, kto zna stosunki, czuje, że dotąd panujący spokój może być ciszą przed burzą.

I niech potem nie udają zdziwionych i oburzonych. Ostrzegano ich, proszono, podawano nawet środki zaradcze — bez skutku. Niechże teraz przyjmą ostatni głos przestrogi...

Gwiazdkowe dary Kół polskich.

Koła polskie — nie jakieś wymarzone, lecz istniejące, realne — to wedle formułki (dla naiwnych) solidarne ugrupowania wybrańców narodu ku wspólnej obronie czci i interesów jego na terenie państw zaborczych... Kto w to ślepo nie wierzy, ten nie uznaje zasadniczego dogmatu katechizmu narodowego — jest wrogiem polskości...

Ci jednak, których szum frazesów nie oszałamia, którzy pojmują, że z ideą utożsamiać można tylko najdoskonalszych jej szermierzy, a nie zlepek klik, zagarniających ją krzykliwie w arendę, z gniewem odczuwają cały fałsz owego „nakazu", z gniewem obserwują to zwodzenie łatwowiernych...

Właśnie teraz „na gwiazdkę" pękły wrzody Koła wiedeńskiego: ukazała się w całej pełni owa „solidarność" — to omotywanie się wzajemne intrygami, to kupowanie sumień — te sploty rajfurstwa, faktorstwa, wyprzedaży zasad. Okazała się „niezależność" Koła, którego menerzy oburącz dla swych celów czerpali z rządowego funduszu dyspozycyjnego, ujawniła się dbałość o cześć narodu — w tem szarganiu imienia polskiego przy gadzinowem żerowisku.

Koło wiedeńskie może mówić o sobie: Jesteśmy milion, bo... miliony z funduszu dyspozycyjnego przez nasze przepływają ręce. Innej podstawy moralnej dla uważania siebie za czoło społeczeństwa polskiego ci ludzie nie mają.

A wśród tej kompanii ów minister-rodak, co z ropy powstał i w ropie moralnie się rozkłada...

Takie oblicze wiedeńskiego „sanktuaryum" „polskiej myśli politycznej"...

Również na „gwiazdkę" okryła się kompromitacyą „reprezentacya" polska w Dumie.

Pisaliśmy już parokrotnie o jej polityce, która przyniosła jedynie gorycz upokorzeń, która dała jedynie pole rosyjskiej prasie do obecnego twierdzenia, jakoby petersburskie Koło wiązało się niegdyś ze Stołypinem umową, w której pomiędzy innemi za cenę cichej zgody na oderwanie Chełmszczyzny i za popychanie Galicyi do popierania moskalofilów — miało uzyskać samorząd miejski i ziemski w formie nie wykluczającej polskiego języka.

Znany publicysta warszawski, podpisujący się się literami T. G., wprawdzie nie wierzy, iżby Koło polskie posunęło się było aż do takiego matactwa, ale przytacza ów obraz poniżenia imienia polskiego nad Newą, który dał asumpt prasie rosyjskiej („Riecz", „Nowoje Wremia") do rzekomych jej rewelacyj.

Pan T. G. pisze tedy w „Gońcu" warszawskim:

„Rewelacye obu dzienników rosyjskich nie tem zasługują na uwagę, iżby odsłaniały jakiś fakt konkretny z zakulisowej działalności Koła, lecz tem, że odbija się w nich prawdziwa opinia, jaką nasza reprezentacya wyrobiła sobie nad Newą. Według rewelacyj, podanych przez dzienniki dwóch naczelnych odłamów myśli rosyjskiej, posłowie nasi są gotowi do wszelkich targów i w wyborze przedmiotów nie krępują się względami godności narodowej lub sumienia obywatelskiego"...

A o parę wierszy dalej czytamy:

„Powie ktoś, że nie można posłów naszych winić, iż nie mogą zmienić na naszą korzyść opinii rosyjskiej. Na to odpowiemy, że **opinia ta i dawniej była względem nas usposobiona nieprzyjaźnie,** ale miała **dla nas pewien szacunek,** kiedy dzisiaj traktuje nas **z pogardliwem lekceważeniem.**

Endeccy politycy obiecywali trafić do państwowej opinii rosyjskiej i należycie „postawić kwestyę polską". No i postawili, jak nie można gorzej. Pod tym względem rewelacye obu dzienników rosyjskich są dokumentem pierwszorzędnego znaczenia".

Tak bronią czci polskiej — jedni w Wiedniu, drudzy w Petersburgu, a nielepiej, choć aktualnego niema tam dziś skandalu — trzeci w Berlinie...

A bezmyślne tłumy burżuazyi polskiej osłaniają polskiem imieniem taką politykę, której na imię: kompromitacya.

Walka cennikowa drukarzy.

Kraków, 24 grudnia.

Pryncypałowie drukarscy udzielili swym pracownikom bezpłatnych urlopów. Zamknęli drukarnie, a w nich uczniów.

Trzystu sześćdziesięciu ludzi w jednem tylko mieście **postradało** pracę. Brutalnie złamali umowę właściciele drukarń, lokautując robotników przed upływem obowiązującego cennika. Sprytni „geszefciarze" wyliczyli, że warto ją złamać w okresie, w którym są święta. Poco płacić robotnikom za dni świąteczne?...

Dobre serce pryncypałów, takie życzliwe — jak zapewniają — dla pracujących, nakazało im dopuścić się brzydkiego czynu. Każdy bezstronny człowiek nazwie to właściwem mianem. Nie pomogą im odezwy i broszury, wzbudzające ogólny śmiech. „Obywatele, rodacy, Polacy", do który się pryncypałowie zwracają, wiedzą dobrze, iż walkę sprowokowali majsterkowie drukarscy w obronie własnej kieszeni.

Źle z nimi, skoro, w braku rzeczowych argumentów, mówią i piszą o „prowodyrach socyalistycznych", o agitatorach, co podburzają robotników i w objęcia strejku pchają.

Strejk wywołali sami właściciele jako odpowiedź na lokaut. Więc tymi „niesumiennymi agitatorami", „prowodyrami socyalistycznymi" są pryncypałowie. Tak wynika z ich rozumowania.

W adwencie **rozpoczął się szalony karnawał** przemysłowców drukarskich. Podały sobie ręce dobrzy znajomi: wyzysk i kapitał. Tańczą pryncypałowie w Galicyi zachodniej mazurka w takt walca, jaki im grają właściciele drukarń w Wiedniu.

Biedacy są oni, ofiary teroru i wyzysku robotników! Zarząd Związku robotników wydał odezwę i udowodnił to „ubóstwo" pryncypałów wiedeńskich. Dwadzieścia procent ich posiada kamienice, niektórzy po kilka, a nabyli je w stosunkowo krótkim czasie. W Galicyi nie inaczej.

I oni mają czelność mówić o wyzysku robotników. Lokautować — i prawić o terorze składaczów!

Prędzej czy później skończy się bezrozumny karnawał pryncypałów! Robotnicy spokojnie mu się przypatrują, wiedząc, że **po tym karnawale buty i chciwości nadejdą gorzkie żale pryncypałów!**

U drukarzy.

Sprawozdawca nasz pisze:

We wtorek odwiedziłem zlokautowanych. Obszerne ubikacye ich stowarzyszenia „Ognisko" szczelnie zapełnione.

W jednej sali odbywa się posiedzenie. Uczestniczą w nim zecerzy z dwóch drukarń. Przy stoliku prezydyalnym kierownicy organizacyi. Referent omawia ogólnie sprawę cennikową, udziela wyjaśnień, rad i wskazówek. Codziennie odbywają się dwa posiedzenia: rano i po południu, a biorą w nich udział kolejno pracujący z dwóch lub trzech drukarń.

Sala druga przedstawia odmienny widok. Tu, przy dużych stołach, toczą się najrozmaitsze gry. W trzeciej — bibliotece — znajduje się czytelnia, bogato zaopatrzona. W mniejszych pokojach rozsiadły się grupy i rozmawiają. Pewien towarzysz odczytuje głośno swe „świadectwa" w książce robotniczej. Salwa śmiechu. Jakiś pryncypał bowiem napisał mu: „odchodzi na własne życzenie ku naszemu zupełnemu zadowoleniu"... Drugi znowu, po gorącem uznaniu dla zdolności tego samego robotnika, kończy „świadectwo", jak następuje: „Pan J. W. odchodzi jedynie na własne życzenie i li tylko z powodu braku pracy". Wesołość wybucha niepowstrzymana...

Zlokautowani są dobrej myśli. Drwią ze straży, które strzegą drukarń przed ich napadem...

Walki się nie obawiają, o wynik jej spokojni. Oparci o swą organizacyę, śmiało patrzą w przyszłość. Towarzysze drukarscy wiedzą, że cała klasa pracująca i wszyscy jej wrogowie zwrócone mają oczy na te zapasy dwóch sił: pracy i kapitału.

Nie widać wśród nich lęku i zdenerwowania. Zdawałoby się, że to nie strejkujący, lecz ludzie, co przyszli, by porozmawiać z sobą i swobodnie spędzić kilka godzin.

Tę siłę, ten spokój i ufność czerpią ze swego uświadomienia, ze swej organizacyi.

Walka, Wam towarzysze, wyjdzie na dobre. Wzmocni Waszą świadomość klasową, słabszych połączy silniejszymi węzłami z myślą robotniczą i pracą, niezdecydowanych i opornych w tej pracy przekona o potrzebie solidarności całego proletaryatu. W ogniu walki nabierzecie hartu jeszcze większego i większej jeszcze mocy! W tej walce widzicie, kto Wasz przyjaciel, a kto wróg!

Z tą myślą opuszczam sale „Ogniska", zasyłając zebranym życzenia świetnego zwycięstwa!

* * *

Do wiadomości magistratu, jako władzy przemysłowej.

Zapytujemy magistrat:

1) czy wie o tem, że w czasie bezrobocia robotników drukarskich niektórzy właściciele drukarń w Krakowie używają uczniów do systematycznej pracy w zawodzie?

2) czy magistrat, jako władza przemysłowa, odbierze pryncypałom drukarskim prawo trzymania uczniów, ponieważ — w myśl ustawy przemysłowej — uczniowie powinni się tylko kształcić w danym zawodzie, nie wolno ich jednak zatrudniać stale w zastępstwie sił roboczych, jak to pewni pryncypałowie krakowcy czynią?

Żądamy więc interwencyi magistratu w sprawie naruszenia przez nich ustawy przemysłowej i wykonania jej przepisów!

Moryc i jego protektorzy.

Już od szeregu tygodni strejkują pracownicy drukarni Fischera w Krakowie, albowiem stale nie wypłacano im zarobku tygodniowego. Obecnie drukarnia ta funkcyonuje przy pomocy całej armii chłopaczków żydowskich, sprowadzonych z różnych zakamarków galicyjskich. — W swych tarapatach znalazł p. Moryc Fischer dwóch protektorów. Pierwszym z nich jest p. Spitzer, „znany" dyrektor szkoły męskiej. Osobliwy ten pedagog posunął się do tego, że uczniów Fischera powstrzymywał od uczęszczania na naukę wieczorną.

Drugim protektorem p. Fischera został obecnie przewodniczący właścicieli drukarń, p. Anczyc, znany klerykał. U Fischera drukuje on

obecnie swoje paszkwile na organizacyę drukarską. Niedawno oświadczał p. Anczyc, że u Fischera więcej interweniować nie będzie i ma go do syta. Obecnie z okazyi walki drukarzy przewodniczący sądu cennikowego dla Galicyi zachodniej przytulił do siebie osławionego wyzyskiwacza...

Pogratulować p. Anczycowi nowego sprzymierzeńca.

Miecz i kropidło.

Drukarnię Katolickiej Spółki Wydawniczej („Prawdy“), w której rej wodzi ksiądz Kądzioła, już w niedzielę strzegł oddział policyjny, by dwom szumowinom umożliwić składanie „Gazety Poniedziałkowej“. Że władza udziela swej asysty, gdy łamie się ustawą nakazany spoczynek niedzielny, to możliwe jest tylko w katolickim Krakowie. Żal jednak było policyantów, którzy podczas wiatru i deszczu ziębli na polu, gdyż drukarze bynajmniej nie dadzą się wyprowadzić z równowagi z powodu kilku drabów.

Kto składa „Chwilę“?

Dziennik zbiorowy „Chwila“ składają częściowo w drukarni Anczyca a częściowo w drukarni „Literackiej“ na maszynie. U Anczyca **składa sam właściciel z synem, dyrektorowie** drukarń krakowskich, oraz personal kancelaryjny p. Anczyca, rekrutujący się z dawnych zecerów, mianowicie: p. **Żmuda, Sechosz, Juny.** Jestto tem dziwniejsze, że trzej wymienieni należą do organizacyi robotniczej. Pomaga im p. **Telz**, właściciel drukarni „Narodowej“, p. **Górski**, zarządca drukarni „Literackiej, **Meus**, współwłaściciel drukarni „Sztuka“, **Jądro**, zarządca „Prawdy“.

Majsterek zarabia jako łamistrejk.

Niejaki **Czajkowski**, biedny pryncypał z Przeworska, zjechał na „sezon łamistrejków“ do Krakowa i pracuje w drukarni Rippera jako maszynista. Czajkowski nagania uczniów, zmuszając ich do intensywnej pracy. Zwracamy na to uwagę władzy przemysłowej.

Dziewczęta-zecerki składają „Kuryerka“.

Krążą pogłoski, że do składania „Kuryerka“ sprowadzono z Poznania **cztery zecerki**. W pracy pomagają im pp. Telz i **Tomaszewski**, dawny wspólnik „Głosu narodu“, któremu swego czasu gremium pryncypałów nie chciało udzielić koncesyi.

Latający Moryc.

Moryc Fischer, właściciel drukarni, objeżdża drukarnie krakowskie i puszcza w ruch maszyny.

Ładne towarzystwo, jak widzimy, złączyło się w organizacyę łamistrejków.

* * *

Pryncypałowie berlińscy ofiarują swe pośrednictwo.

Urząd cennikowy drukarzy niemieckich nadesłał do Wiednia telegram z zawiadomieniem, że jednogłośnie uchwalił ofiarować swe pośrednictwo w załatwieniu zatargu. Organizacya robotników drukarskich odpowiedziała, że dziękuje za dobre chęci i zwraca uwagę, że już zarząd (austryacki) przeszło tydzień usiłuje wyszukać podstawę do układów. Jeżeli więc pryncypałowie mają dobrą wolę, musi sprawa prędko się rozstrzygnąć. Wobec tego stanu rzeczy propozycya urzędu cennikowego w Berlinie jest nie na czasie.

Jak się zdaje, pryncypałowie przyjęli to pośrednictwo. Wynika to z tego, że z Berlina otrzymała organizacya robotników drukarskich drugi telegram, z którego wynika, że pryncypałowie zawiadomią rząd o podjęciu układów. Na ten telegram odpowiedziała organizacya, że wedle doniesień gazet, pryncypałowie uznali interwencyę rządu za przedwczesną, mimo że organizacya w zasadzie interwencyę tę przyjęła.

* * *

Bezrobocie drukarzy.

Opawa. „Troppauer Zeitung“ wychodzi co drugi dzień. Dziennik „Fr. Schl. Presse“ przestał wogóle wychodzić. — Dziennik „Deutsche Wehr“ wychodzi normalnie, ponieważ drukarnia sprowadziła zecerów z za granicy.

Praga. Z wyjątkiem dwóch dzienników robotniczych inne dzienniki wyszły w zmniejszonym formacie. Wydania tych dzienników zawierają 8 do 16 stron. „Prager Tagblatt“ donosi, że na razie wydanie popołudniowe tego dziennika nie będzie się pojawiać. Dziennik składają redaktorzy. Po świętach pojawi się „Prager Tagblatt“ dopiero w niedzielę 28 b. m.

List z kraju.

Bochnia, 23 grudnia.

Z Bochni donoszą nam: Proboszcz tutejszy ks. Wilczkiewicz stał się wydawcą pisemka „Lud katolicki“, którego pierwszy numer zajmuje się obszernie tutejszym Domem Robotniczym i czytelnią. Rozumie się, że zwykłą u klerykałów metodą wypisuje pisemko to niestworzone rzeczy, które jednak ludność bocheńska zna z innej, prawdziwej strony. Wypisuje się historye, jak nie doszło poświęcenie Domu do skutku, jak Dom został zbudowany „staraniem jednego murarza“; a wkońcu zachwala swe „stowarzyszenie katolickich górników, do którego rzekomo wstąpiło już „mnóstwo członków“. Jak w rzeczywistości ściąga się członków do tego stowarzyszenia, wiemy. Znamy działalność w tym kierunku ks. Wilczkiewicza, oraz Fryta i Miszkego; wiemy, że górników zapędza się do stowarzyszenia słowami: „Zapiszcie się do nowej czytelni, a nie będzie was p. nadkomisarz prześladował“.

Do tego zacnego towarzystwa należy też znany Kolanowski z Wieliczki, oskarżony publicznie o kradzież. To też do takiego towarzystwa górnicy nie mogą mieć zaufania, a ludność wie, w jakim obozie ma szukać obrony.

Parlament.

Wiedeń, 24 grudnia.

Wczorajsze posiedzenie Izby posłów rozpoczęło się o 11 przed poł. dalszą dyskusyą nad

ustawą o przekazaniach

krajom udziału w podatku wódczanym.

Po przemówieniu posła Viszkovsky'ego dyskusyę zamknięto, poczem przemawiał mówca generalny poseł tow. Glörkl.

Prezydent zawiadomił o

złożeniu mandatu

przez p. Jaworskiego.

Usprawiedliwienie się Rusinów.

Poseł Kolessa w faktycznem sprostowaniu podnosi, że walka Rusinów nie zwracała się ani przeciw Izbie ani przeciw nauczycielom, lecz ma na celu obronę żywotnych interesów narodu ruskiego. Idzie o **sejmową reformę wyborczą**, która ma stanowić ważny etap, w rozwoju życia narodowego Rusinów. Dalej polemizował z doniesieniami prasy, jakoby Rusini **weszli z Prusakami w sto[illegible]**. Rozchodziło się tu o uregulowanie emigrac[illegible] zarobkowej do Prus. Robi nar. dem. zarzut, że **w Dumie zawarli układ z Stołypinem** pod warunkiem, że polskie stronnictwa w Galicyi będą [illegible]pierały moskalofilów,

Dalsze „sprostowania faktyczne“ wygłaszali poseł Siengalewicz, Cegielski i Smal-Stocki.

Wniosek łajdaka.

Wniosek postawiony przez posła Starka, któremu sądownie udowodniono, że bierze pieniądze za interpelacye, w sprawie ustanowienia komisyi śledczej dla zbadania afery Stapińskiego i Długosza oraz afery rzekomego przyjęcia pieniędzy przez socyalnych demokratów od byłego namiestnika Bobrzyńskiego na wybudowanie drukarni, **nie uzyskał dostatecznego poparcia.**

Interpelacyę

wniósł poseł tow. Moraczewski w sprawie przyjęcia **detektywów prywatnych jako rewizorów pociągów kolei państwowych.**

Lasocki woła o § 14!

Poseł hr. Lasocki zapytuje prezydenta, czy gotów jest wpłynąć na to, żeby sprawozdanie o podatku domowo-klasowym możliwie szybko zostało Izbie przedłożone i stanęło na porządku dziennym. Mówca wskazuje na obiegające pogłoski, jakoby do niektórych przedłożeń podatkowych miał być zastosowany § 14. Gdyby te pogłoski miały się sprawdzić, byłoby to rzeczą bardzo ubolewania godną; mówca sądzi jednak, że w takim razie należałoby także i życzeniu ludności zadość uczynić i uwolnić najuboższe warstwy od podatku domowo-klasowego.

Poseł tow. Winter: Więc pan wołasz o § 14?

Poseł Lasocki: Nie wołam go, zastrzegam się przeciw temu, ale jeżeliby do tego przyjść miało... (Ponowne przerywania ze strony socyalnych demokratów), gdyby § 14 miał być zastosowanym, to byłoby lepiej uczynić także coś dla ludności. Mówca zapytuje prezydenta, czy na wypadek — gdyby rzeczywiście przyszło do zastosowania § 14, nie uważałby za wskazane zwrócić uwagę rządu na konieczność załatwienia przedłożenia o podatku domowo-klasowym.

Prezydent odpowiada, że może jedynie wstawić się za jak najszybszem, zgodnem z regulaminem traktowaniem tego przedłożenia.

Poseł Wróbel również urguje załatwienie przedłożenia o podatku domowo-klasowym.

Poseł tow. Diamand.

Na zapytania Lasockiego i Wróbla, żądające od prezydenta, by przez święta załatwił sprawę obniżenia podatku domowo-klasowego, a pierwszego z nich, by ustawę taką **w drodze § 14 wprowadzono**, zgłosił się do głosu poseł Diamand: Byliśmy świadkami dwóch zapytań do prezydenta, na które odpowiedzi niema. Wróbel zaznaczył powód tych pytań, pragnąc przywieźć ludowi na gwiazdkę jakiś podarek, jakoby cały kraj nie był wstrząśnięty **gwiazdką, którą mu sprawiło Koło polskie w ostatnich dniach.** Prawda, że gwiazda Koła polskiego **zatruwa atmosferę całego kraju**, ale taką jest też polityka Koła. **Wszyscy chcielibyśmy stworzyć coś pożytecznego dla ludności**, ale zapytania długoszowców są **sypaniem ludowi piasku w oczy.** W chwili zamknięcia parlamentu uczynić taką demonstracyę pustą, to wskazuje na niedocenianie chłopa, który nie jest już tak naiwny, by tu na lep pójść.

Poseł Wróbel: Ale dlaczegoż podczas świąt! (Szalona wesołość).

Poseł Diamand: Powinniście się panowie wstydzić takiego nadużywania Izby poselskiej, kompromitujecie cały parlament. Skompromitowaliście politykę kraju, skompromitowaliście swych przywódców w sposób, w który nikt jeszcze w tej Izbie skompromitowany nie został, a teraz usiłujecie się **biagą** zasłonić, pytając prezydenta o rzeczy, leżące poza granicami jego władzy. Wszystko możnaby puścić płazem, gdyby zapytanie starosty Lasockiego nie osiągnęło **szczytu nieprzyzwoitości parlamentarnej.**

Nikt w Izbie tej nie odważył się jeszcze żądać dekretowania ustawy drogą § 14. (Wołania: Hańba mu! Precz z Izby, pseudo-hrabio, zdrajco ludu! itp.). Tego nie spodziewano się nawet po członku dzisiejszego Koła polskiego. (Oklaski i wyzywania w stronę Lasockiego). Odezwanie się Lasockiego nie może pozostać bez najstanowczejszego odparcia. **Całe życie publiczne cierpi pod groźbą rządów § 14;** najsilniejszym środkiem korupcyi życia publicznego jest § 14. Dzisiaj nawet Izba panów zmuszoną będzie bronić się przed § 14, a w tej Izbie ludowej powstaje człowiek — nie wiem, jak się tu dostał, to może najcięższy grzech Stapińskiego, że go posłem zrobił (Oklaski) — i ma **czelność zawezwać rząd do złamania konstytucyi**, do złamania ustawy, do poniżenia parlamentu.

Panie prezydencie! Rozumiem trudność pańskiego położenia wobec niebywałego nadużycia regulaminu, dążącego do narzucenia panu współwiny w stosowaniu § 14; muszę jednak zwrócić się do pana z zapytaniem, czy jesteś skłonnym do stanowczego odparcia tego zamachu.

Prezydent: Dałem już p. Lasockiemu stosowną odpowiedź.

DODATEK LITERACKI
do świątecznego numeru „Naprzodu“.

Wspomnienia z walki.

(Towarzysz poseł Daszyński nadesłał do naszego numeru „gwiazdkowego“ kilka epizodów, zanotowanych na marginesie kartek pamiętnika. Te dzisiaj zabawne prawie zdarzenia przypominają jednak żywo dawną krakowską atmosferę prześladowań, w jakich odbywała się praca organizowania partyi robotniczej).

„Bluźnierca“.

Na kilka tygodni przed wyborami z piątej kuryi w zimie 1897 czyjaś ręka szarpała mną śpiącym wczesną porą. Przetarłem oczy i zobaczyłem nad sobą młodego robotnika, który coś do mnie mówił. Kiedym się nareszcie sam ocucił, usłyszałem dziwne rzeczy. Oto jakiś jezuita w redakcyi klerykalnego pisemka najął za czterdzieści kilka guldenów donosiciela na mnie. Jeżeli sprawa się powiedzie, miał donosiciel dostać drugie tyle pieniędzy. A „sprawa“ polegała na tem, iż owa kanalja miał donieść na mnie, żem podczas jednego odczytu w stowarzyszeniu robotników krawieckich, miał obrazić: Matkę Boską! Denuncyacya już jest w policyi u komisarza Banacha i już „świadków“ policya przesłuchuje... Opowiedziawszy mi to chłopiec zniknął i nie wiem dotąd co to był za jeden.

Zrozumiałem w lot szlachetne intencye jezuity. Chodziło mu tylko o to, abym się znalazł w śledztwie o obrazę Matki Boskiej. Na 20.000 chłopów wyborców, o których głosy się ubiegałem, miało to już zrobić odpowiednie wrażenie! Rzecz była pomyślana wcale sprytnie. W skupieniu pomaszerowałem do dyrektora policyi, pytając go, co to za doniesienie na mnie wpłynęło? Radca dworu próbował z początku kłamać, że żadnego doniesienia nie ma, ale gdym go coraz to bardziej w zdumienie wprawiał, opowiadając szczegóły, przed kilku godzinami słyszane, przyznał wreszcie prawdę i dodał, że w tych warunkach z doniesienia użytku nie zrobi, ale jeżeli prokurator dostał równocześnie takież doniesienie, za nic nie ręczy. Powędrowałem więc do prokuratora p. Wędkiewicza i opowiedziałem mu całą awanturę. Oświadczył, że doniesienia nie ma, ale skoro wpłynie, wystąpi przeciwko mnie ze skargą. Ale jakoś nie spieszno było klerykałom z obroną Matki Boskiej, bo „sprawy“ nie było i w kilka tygodni zostałem wybrany posłem.

Dramat w usługach rządu.

W marcu 1897 zostałem wybrany posłem „Ziemi krakowskiej“ 23.000 głosów przeciwko ks. Ponińskiemu (3000 głosów) i antysemicie drowi Mikołajskiemu (3000 głosów). Byłem posłem całego Krakowa, Podgórza i powiatów krakowskiego i podgórskiego. A w trzy miesiące później prokurator p. Kalitowski wystawił w Krakowie dramat pt.: „Kusiciele ludu“ w teatrzyku letnim w Parku krakowskim. Dramat był wystawiony pod patronatem p. Laskowskiego ck. starosty krakowskiego i Radcy Dworu. P. Laskowski rozdał między biurokracyę bilety wstępu, a miłą dla pp. rządowców niespodzianką wieczoru było to, że aktor grający „czarny charakter“ w sztuczydle prokuratorskiem miał moją maskę!

Pierwszy wieczór minął rozkosznie. Ale na drugi wieczór zjawiło się ze mną około 200 robotników na stojących miejscach w parterze...

Aktor z moją maską grał w pierwszym akcie jakiegoś łotra, który organizuje chłopów do różnych złodziejstw i podpaleń. Wytrzymano w spokoju. Ale kiedy w drugim akcie „agitator“ posyła chłopów na kradzież i podpalanie, aby zasilić kasę partyjną (!), ryk gniewu buchnął z z szeregów robotniczych. Wpadła policya, — znowu z kucym Wolanieckim na czele — ale żadna siła nie była w stanie poskromić rozjuszonych towarzyszy. Przerażona burżuazya poczęła z lóż uciekać ze swojemi kobietami, kurtyna spadła i przedstawienie przerwano. Wynikł stąd proces, w którym towarzysze oberwali po kilka miesięcy; ja sam posiedziałem za tę historyę coś cztery tygodnie. (W przerwie między jednem a drugiem posłowaniem).

„Hofrat“ Laskowski pienił się z bezsilnej wściekłości. Chciał na drugi dzień „sztukę“ powtórzyć, ale komendant korpusu, taktowny jenerał Albori odmówił muzyki wojskowej, a i publiczność miała z poprzedniego wieczoru strachu aż nadto. Od tego czasu nigdy w Krakowie tej prokuratorskiej „sztuki“ nie grano. Tułała się ona gdzieś po dziurach prowincyonalnych na służbie endeckiej i skonała dość wcześnie. Tak to i dramat obok denuncyacyi nie pomógł. Tylko chyba tyle pomógł, że p. Kalitowski awansował!...

Paragraf ma dwa końce!

Po raz pierwszy, odkąd w Austryi istnieje konstytucya i parlamentaryzm, postanowiono w Krakowie odebrać mi mandat za pomocą sztuczki sądowej, której ocenę zostawić mogę czytelnikom. Podczas ruchu wyborczego miałem w jakiejś wiosce mowę, nie wiele odbiegającą od mów w innych miejscowościach. Pomimo, że tymczasem zostałem posłem, a więc nietykalnym, sąd karny wezwał mnie, abym się stawił! Nie poszedłem i trzeba było dopiero surowego napomnienia ministra sprawiedliwości, aby sąd krakowski przyszedł do przytomności. W pierwszej jednak pauzie, wynikającej z zamknięcia sesyi — środek przez ministra Badeniego ulubiony! — wezwał mnie w lecie 1897 sędzia śledczy p. Czyszczan, jako oskarżonego o zbrodnię § 58 i 65 ustawy karnej. Wszystko na podstawie niewinnej mowy! Zmierzali pp. sędziowie do zasądzenia mnie za zbrodnię i unicestwienia przez to mojego parlamentarnego mandatu. Kiedy znowu taka pauza po napędzeniu Badeniego nastąpiła, poradził mi mój adwokat, późniejszy kolega dr. Adolf Gross, abym wyjechał do Szwajcaryi. Wyjechałem i siedziałem tam przez całą pauzę, tj. przez trzy miesiące, pisząc jedną z broszur politycznych.

Tymczasem sąd chwycił się jeszcze pewniej-

EMIL HAECKER.

30 lat temu.

(Karta z dziejów socyalizmu w Galicyi).

I.

Rok 1883 był jednym z najcięższych w dziejach młodego ruchu socyalistycznego w Galicyi. Prześladowania spadły ze wzmożoną siłą na kółka socyalistyczne we Lwowie i w Krakowie, które przetrwały wielki proces krakowski 35 socyalistów z r. 1880 i dzięki agitacyjnemu wpływowi owego procesu coraz bardziej rozgałęzioną siecią ogarniały klasę robotniczą w obu stolicach kraju.

Wobec prześladowań policyjnych, uniemożliwiających socyalistom prawie zupełnie działalność legalną na gruncie ustaw konstytucyjnych o wolności stowarzyszeń, zgromadzeń i prasy, kółka owe z konieczności musiały być tajne. Oczywiście nie były to organizacye spiskowe w sensie tajnych stowarzyszeń zakazanych przez ustawę, lecz miały charakter schadzek oświatowych, na których wykładano ideę socyalizmu. Dziś robi się tosamo jawnie, a i wówczas można by to było jawnie i legalnie czynić, gdyby policya nie była wbrew ustawie uniemożliwiała wszelkie korzystanie z praw konstytucyjnych i nie zmuszała socyalistów do ukrywania się z tem, co właściwie mieli prawo robić publicznie.

Jedynymi jawnymi i legalnymi przejawami ruchu robotniczego były czasopisma socyalistyczne, wydawane we Lwowie i w Krakowie. Z jakimi trudami i ofiarami było to połączone, z jaką męczeńską wytrwałością trzeba było dla tych usiłowań zdobywać każdą piędź gruntu konstytucyjnego, — o tem dzisiejsi ludzie nie mogą wprost mieć pojęcia. Od paru lat wychodził we Lwowie dwutygodnik socyalistyczny „Praca“, redagowany przez Józefa Daniluka niezmiernie blado, starający się przystosować do ciężkich galicyjskich warunków prasowych owego czasu, a jednak konfiskowany niemiłosiernie prawie numer w numer, i to za co? np. za artykuły głoszące ideę powszechnego prawa wyborczego...

Krakowscy robotnicy pragnęli również wyzyskać grunt konstytucyjny, bodaj w tej mierze, w jakiej się to udawało towarzyszom lwowskim. Założyli tedy w Krakowie od Nowego Roku 1883 dwutygodnik socyalistyczny p. t. „Robotnik“; jako wydawca i redaktor odpowiedzialny podpisywał „Robotnika“ fotograf J. Schmiedhausen, jeden ze współoskarżonych Ludwika Waryńskiego z r. 1880, do dziś dnia żyjący i wierny ideałom młodości. W Krakowie były jednak warunki policyjne o wiele gorsze niż we Lwowie: dyrektor policyi English i komisarze policyjni Jüttner i Swolkien, a zwłaszcza osławiony Kostrzewski z niezrównaną zajadłością i bezwzględnością tłumili każdy objaw ruchu socyalistycznego w Krakowie, Rewizye, aresztowania procesy, wydalania stanowiły nieprzerwany łańcuch prześladowań. „Robotnika“ krakowskiego konfiskował prokurator Brason numer w numer, przyczem policya chwytała egzemplarze wprost z maszyny drukarskiej. Po czterech numerach został Schmiedhausen aresztowany, a ktokolwiek w jego miejsce zgłaszał się do prokuratoryi i policyi jako redaktor odpowiedzialny „Robotnika“, tego natychmiast policya aresztowała, albo przynajmniej uznawała zupełnie bezpodstawnie za nieodpowiadającego przepisanym przez ustawę prasową warunkom na odpowiedzialnego redaktora. Te szykany policyjne uniemożliwiły dalsze wydawnictwo „Robotnika“.

II.

Siepaczom policyjnym pospieszyła z pomocą urzędowa „nauka polska“, dając swoim autorytetem „naukową“ sankcyę temu deptaniu konstytucyi i brutalnemu gnębieniu ruchu robotniczego. W styczniowym zeszycie z roku 1883 „Przeglądu polskiego“, naukowego miesięcznika stańczyków krakowskich, i jeszcze w ciągu stycznia w odbitce książkowej ogłosił profesor ekonomii politycznej na wydziale prawniczym uniwersytetu lwowskiego dr. Leon Biliński (dzisiejszy wspólny austro-węgierski minister skarbu) rozprawę p. t. „O istocie, rozwoju i obecnym stanie socyalizmu“. Doprawdy, warto dziś po 30 latach, zajrzeć w pożółkłe kartki owej broszury oddawna już zupełnie zapomnianej i zobaczyć, co też w owym czasie wiedział i pisał o socyaliźmie uczony członek krakowskiej Akademii Umiejętności, który to tytuł swój umieścił dr. Biliński na karcie tytułowej wymienionej rozprawy.

Było tekst odczytu, wygłoszonego przez dra Bilińskiego na uroczystości inauguracyi roku szkolnego 1882-3 na uniwersytecie lwowskim 16 października 1882 i powtórzonego przezeń na zaproszenie wydziału Towarzystwa prawniczego

szego środka, nigdy dotąd wobec posła nie praktykowanego. Wystosował do mnie tak zwany „pozew publiczny“, ogłoszony w gazetach, przybity gwoździami do drzwi mego mieszkania i doręczony żonie. Kto na taki pozew publiczny do dni 30 nie stanie przed sądem, traci obywatelskie prawa, a więc i mandat! Wzięto się do mnie zatem z obu stron i to gruntownie. Naznaczono w Krakowie rozprawę zaoczną, a ja siedziałem sobie wciąż w Zurychu, a tylko na wezwanie dra Grossa przysłałem świadectwo lekarskie, jako jestem chory i na rozprawę przybyć nie mogę. Zeszedł się sąd, prokurator i mój obrońca. Już miano przystąpić do rozprawy, naturalnie zaocznej, gdy mój obrońca zapytał trybunału, czy próbowano mi doręczyć w Zurychu wezwanie na rozprawę? Stwierdzono, że nie próbowano. Wówczas dr. Gross postawił wniosek, aby rozprawę odroczono, a wezwanie mi doręczono, bo wedle traktatu austryacko-szwajcarskiego można obywatela austryackiego mieszkającego w Szwajcaryi wzywać na rozprawę, tak jakby mieszkał w Austryi. Uczyniła się wielka konsternacya między politykującymi sędziami, bo żaden z nich o podobnym traktacie nie słyszał. Udano się na naradę i traktat taki znaleziono. Z nosami spuszczonymi na kwintę rozprawę odroczono, a tymczasem zaczęła się sesya parlamentarna i za tydzień chodziłem już po Krakowie, kłaniając się uprzejmie radcy Morelowskiemu, który się z góry był cieszył, że pod jego przewodnictwem będę sądzony i mandat stracę. Sprawa sama w gruncie rzeczy była tak nieufundowaną i błahą, że same władze potem akt oskarżenia wrzuciły do kosza.

ANATOL FRANCE.

CHRYSTUS Z OCEANU.

(Z francuskiego przełożył J. S.)

Było to w roku, kiedy wielu rybaków z Saint-Valéry, udających się na połów, znajdowało śmierć w topieli morskiej. Wyławiano wciąż zwłoki, które fala przypływu przynosiła do brzegu wraz ze szczątkami łodzi; dzień po dniu ciągnęły ku górze, po drodze wiodącej do kościoła, orszaki pogrzebowe; żywi nieśli na barach ciała ofiar morza, a za trumnami postępował żałobny szereg płaczących wdów, odzianych w czarne płaszcze, podobnych do niewiast biblijnych.

Ciała szypra Jana Lenoëla i syna jego Dezyderego wystawiono w głównej nawie kościelnej tuż pod modelem okrętu, który niegdyś zawiesili ci sprawiedliwi i bogobojni rybacy, jako wotum dla Najświętszej Panienki. Wielebny ksiądz Wilhelm Truphème, proboszcz z Saint-Valéry, przemawiając nad ich grobami, rzekł głosem, od łez drżącym.

— Nigdy jeszcze nie oddawałem świętej ziemi zwłok ludzi zacniejszych i lepszych chrześcijan, niż te oto zwłoki, udających się na sąd Przedwiecznego, Jana Lenoëla i syna jego Dezyderego.

Podczas gdy łodzie rybackie ginęły wraz z załogami w pobliżu wybrzeża, tonęły na pełnem morzu wielkie statki, i nie było dnia, w którymby ocean nie przynosił kilka trupów.

Pewnego poranku dziatwa, pływająca łódką wzdłuż brzegu, dojrzała jakąś postać, unoszącą się na fali. Była to naturalnej wielkości postać Chrystusa, rzeźbiona w twardem drzewie, pomalowana farbą koloru cielistego, i zdawała się być dziełem starożytnem. Syn Człowieczy unosił się z rozkrzyżowanemi rękami na fali.

Dzieci przyciągnęły figurę do brzegu i odniosły do Saint-Valéry. Czoło posągu wieńczyła korona cierniowa, a stopy były przedziurawione również jak i dłonie. — Brak jednak było gwoździ jak i krzyża. Z rękami, rozłożonemi jakgdyby do błogosławienia, podobnym był Chrystus do tego, który się zjawił Józefowi z Arymatei i niewiastom świątobliwym zaraz po zmartwychwstaniu.

Dzieci wręczyły znalezioną figurę proboszczowi. — Ten posąg Zbawiciela — rzekł ksiądz Truphème — wydaje mi się być bardzo starym, i artysta, który go rzeźbił zapewne oddawna już nie żyje. A chociaż dziś handlarze z Amiens i Paryża sprzedają za sto i nawet więcej franków prześliczne rzeźby współczesne, to jednak należy oddać sprawiedliwość mistrzom przeszłości, że i ich dzieła mają pewną wartość. Najbardziej raduje mnie myśl, że Jezus Chrystus przybył tu do nas, do Saint-Valéry z rozwartemi ramionami, co jest niezawodnie znakiem, iż błogosławi tę biedną, tak srodze nieszczęściami dotkniętą parafię, iż okazuje swe miłosierdzie biedakom, którzy, udając się na połów ryb, wystawiają swe życie na niebezpieczeństwo, On ci jest, co po powierzchni wód chadzał i rybakom błogosławił.

Złożywszy z czcią Chrystusa w kościele na obrusie wielkiego ołtarza, udał się ksiądz proboszcz Truphème do stolarza Lemerra, aby zamówić piękny krzyż dębowy.

Gdy krzyż był gotów, przybito doń Syna Człowieczego nowiutkimi gwoździami i ustawiono w głównej nawie.

I ujrzano, że oczy Chrystusa pełne były miłości, jakby od niebiańskiego miłosierdzia wilgne.

Zakrystyanowi, który był przy ustawianiu krucyfiksu, zdawało się, iż widzi łzy, spływające z boskich oczu na oblicze.

Gdy nazajutrz ksiądz proboszcz wraz z ministrantem wszedł do kościoła, aby odprawić mszę, zdziwił się niezmiernie na widok próżnego krzyża: Chrystus leżał na ołtarzu.

Natychmiast po mszy kazał proboszcz przywołać stolarza i zapytał go, czemu zdjął figurę z krzyża. Stolarz jednak odrzekł, że tego wcale nie uczynił. Po przesłuchaniu sługi kościelnego i robotników upewnił się ksiądz Truphème, że nikt nie wchodził do kościoła od czasu, kiedy ustawiono krucyfiks w nawie.

Pojął wtedy, że stał się cud, i jął nad znaczenim jego głęboko rozmyślać. W najbliższą niedzielę zwrócił się z ambony do parafian z gorącem wezwaniem, aby się złożyli na zakupienie nowego krzyża, o wiele piękniejszego, niż poprzedni dębowy i godniejszego do umieszczenia na nim Tego, co świat odkupił.

Ubodzy rybacy z Saint-Valéry dali groszy, ile tylko mogli, wdowy ofiarowały swe obrączki. Zebrano tyle, że ksiądz proboszcz Truphème mógł pojechać do Abeville i zamówić wielki krzyż hebanowy ze złotemi literami INRI u góry. Po upływie dwóch miesięcy krzyż ten z przybitym doń posągiem Chrystusa, włócznią, drabiną i gąbką ustawiono na miejscu dębowego.

Chrystus jednak opuścił go również jak i poprzedni, i w nocy zszedł i ułożył się na ołtarzu.

Ksiądz Truphème, ujrzawszy powtórny cud, padł na kolana i długo się modlił.

Cudowne to zdarzenie nabrało rozgłosu w całej okolicy i panie z Amiens urządziły kwestę na krzyż dla Chrystusa z Saint-Valéry. Nawet z Paryża otrzymywał ksiądz Truphème znaczne sumy pieniężne i klejnoty, a małżonka ministra marynarki pani Hyde de Neuville nadesłała złote serce, wysadzane brylantami. Otrzymawszy wszystkie te skarby, pewien jubiler z ulicy św. Sulpicyusza zrobił w ciągu dwóch lat wspaniały krzyż złoty, cały usiany drogimi kamieniami i perłami. W pierwszą niedzielę po świętach wielkanocnych roku 18.. ów krzyż złoty umieszczono uroczyście wobec nieprzejrzanych tłumów rozmodlonych w kościółku Saint-Valéry.

Ten jednak, co się nie uchylił od męki na krzyżu boleści, uchylił się od pozostawania na krzyżu złotym: oderwał odeń zaraz w pierwszą noc swe ręce i nogi i ponownie ułożył się na bieli płótna samodziałowego, pokrywającego ubogi ołtarz wiejskiego kościółka.

Aby nie obrazić Boga, zostawiono Go tym razem na ołtarzu i spoczywał tam w ciągu dwóch lat, do czasu aż Pietrek, syn rybaka Piotra Caillon, zjawił się przed księdza proboszcza i oświadczył, iż na piaszczystem wybrzeżu znalazł krzyż, ten sam właśnie krzyż, na którym zawisł i cierpiał rany Zbawiciel.

Ów Pietrek był upośledzony na umyśle i ponieważ nie umiał pracować na chleb, żył z jałmużny, którą mu dawali litościwi ludzie. Lubiano go powszechnie, gdyż nigdy nie czynił nic złego, nikt jednak nie liczył się z jego słowami, nie słuchano go nawet.

Ksiądz Truphème, który wciąż rozmyślał o niepojętym cudzie Chrystusa z Oceanu, zastanowił się tym razem nad słowami biednego matołka.

---

we Lwowie na zgromadzeniu tegoż Towarzystwa 27 października.

„Z dwóch przyczyn — pisze dr. Biliński w przedmowie — wybrałem temat niniejszy do odczytu inauguracyjnego. Przedewszystkiem i w pierwszym rzędzie chciałem głośno przestrzedz młodzież uniwersytecką przed zgubnymi prądami socyalistycznymi. Wypowiadając tę przestrogę, pozostawałem tylko wiernym przekonaniom, które starałem się wpoić w młodzież naszą tak pismami swojemi, jak przemówieniami rektorskiemi w pamiętnym z agitacyj socyalistycznych roku 1878—79. A że rok bieżący zdawał się znowu zagrażać owymi prądami, od których społeczeństwo polskie nie jest mimo korzystnych w tym względzie warunków przecież zabezpieczone bezwzględnie, przeto sądziłem, iż ten pewniej trafię do serc i umysłów młodzieży, kreśląc z mównicy akademickiej, na tle trzeźwej i sprawiedliwej nauki, obraz straszliwych dla Ojczyzny, Kościoła, rodziny i ładu społecznego dążeń socyalizmu“.

Jako drugi powód, który go skłonił do wygłoszenia odczytu o socyalizmie, wymienia dr. Biliński chęć obrony t. zw. „socyalizmu z katedry“ przed zarzutem, jakoby miał cokolwiek wspólnego z prawdziwym socyalizmem. Dr. Biliński przedstawia mianowicie sam siebie jako „umiarkowanego konserwatystę“ w przeciwstawieniu do „skrajnych konserwatystów“, „ufnych wyłącznie w wojsko i policyę“. „Umiarkowany“ konserwatyzm odróżnia się tem od „skrajnego“, że ufa nietylko w wojsko i policyę, — to swoją drogą, — lecz ponadto jeszcze na innej drodze pragnie dobić socyalizm, a to reformami społecznemi, z których jako pierwszą i najważniejszą ogłasza najrychlejsze wprowadzenie przymusowych, cechowych stowarzyszeń robotników. Otóż tego rodzaju „reformy społeczne“ pragnie dr. Biliński oczyścić z rzucanego na nie ze strony „skrajnych“ konserwatystów podejrzenia, jakoby one były socyalistycznemi, i udowodnić, „iż jeden jest tylko socyalizm w nauce i polityce, t. j. owe zgubne dla Ojczyzny, Kościoła, rodziny i prawa własności, podpadające pod kodeks karny dążenia do rewolucyjnego obalenia dzisiejszej budowy społecznej“.

Oczywiście dla komisarzy policyjnych i prokuratorów ówczesnych było nielada gratką takie „naukowe“ stwierdzenie, że socyalizm już sam w sobie podpada pod kodeks karny i że cokolwiek socyalista powie lub nie powie, zrobi lub nie zrobi, wszystko to da się pod kodeks karny podciągnąć, bo „jeden jest tylko socyalizm, zgubny itd... dążący do rewolucyjnego obalenia“ itd. itd. Przypatrzmyż się tedy, jak to p. dr. Biliński „udowodnił naukowo“.

Na wstępie dał rys historyi socyalizmu europejskiego, pełen tak grubych błędów, iż z każdego wiersza widać, że wszystkie swoje wiadomości o socyalizmie czerpał z drugiej lub trzeciej ręki, że pisze o książkach, których ani na oczy nie widział, i o ludziach, których biografij nie zna. Wykazywać wszystkie te nonsensy, całą ignorancyę „uczonego“ socyalistożercy — na to dziś, po latach trzydziestu, szkoda czasu i atłasu. Wystarczy przytoczyć tylko parę pikantniejszych szczegółów.

I tak, doprowadziwszy szczęśliwie historyę socyalizmu do Weitlinga, pisze dalej następującemi słowy:

„Odtąd wegetował socyalizm niemiecki przez długi czas tylko siłami agitatorów i pisarzów drugorzędnych, którzy, schroniwszy się przed procesami do Anglii, zakładali tam liczne towarzystwa komunistyczne, n. p. Arnold Runge, Karol Grün, Bruno Bauer i najznaczniejszy z nich Engels, autor namiętnej książki: Die Lage der arbeitenden Klassen in England“. Kto bodaj jako tako zna historyę socyalizmu, parsknie śmiechem, wyczytawszy ten tak obfity zbiór nonsensów w jednem zdaniu. Tym zaś czytelnikom „Naprzodu“, którzy z dziejami socyalizmu nie są obznajomieni, niechaj wystarczy stwierdzenie, że w całem tem zdaniu niema ani jednego słowa prawdy, że po Weitlingu kierownictwo ruchu socyalistycznego objęli bezpośrednio dwaj ludzie tak genialni, jak Marx i Engels, a nie jacyś „drugorzędni“, że Arnold Ruge nie nazywał się Runge, że ani on, ani Bruno Bauer nie byli socyalistami, że książka Engelsa niema nic wspólnego z „namiętnością“, że żaden z wymienionych nie schronił się do Anglii przed procesami, że z wyjątkiem Engelsa żaden z nich w Anglii wogóle nie był, słowem, że wszystko jest zmyślone aż do owych licznych towarzystw komunistycznych w Anglii, które w rzeczywistości redukują się do jednego, do dziśdnia w Londynie istniejącego, a istotnie w owych czasach założonego przez emigrantów niemieckich. Pomiędzy pismami Lassalla wymienia dr. Biliński jakiś nieistniejący „Arbeiterkatechismus“ z r. 1863. Ale darujmy mu to wszystko

Wraz zakrystyanem i dwoma robotnikami udał się na miejsce, gdzie Pietrek znalazł krzyż, i istotnie ujrzał tam dwie grube deski, zbite zardzewiałymi gwoździami, tworzące przypadkowo coś nakształt krzyża. Prymitywny ten krzyż, miotany falami, długo zapewne unosił się po morzu.

Deski były szczątkami rozbitej łodzi rybackiej, które wyrzuciło morze. Można było na nich rozeznać jeszcze dwie wpół starte czarne litery: J. i L. Rozpoznano natychmiast z całą stanowczością, że są to szczątki z barki Jana Lenoëla, który wraz z synem Dezyderym zginął przed pięciu laty w morzu podczas burzy.

Na ten widok zakrystyan i robotnicy wybuchnęli głośnym śmiechem i poczęli drwić z głupiego Pietrka, iż ten przyjął stare tarcice z rozbitej łodzi za krzyż Zbawiciela. Jednak ksiądz Truphème zgromił ich za bezmyślne kpiny. Od czasu, kiedy do wioski rybackiej zjawił się Chrystus z Oceanu, zacny proboszcz wiele rozmyślał o cudzie i długo, długo przebywał pogrążony w modlitwie — teraz poczęła mu się wyjaśniać tajemnica cudu, tajemnica bezgranicznej łaski. Ukląkłszy na piasku, wzniósłszy ku niebu ręce, odmówił najpierw modlitwę za sprawiedliwych nieboszczyków. Potem rozkazał zakrystyanowi i robotnikom wziąć na bary owe tarcice, zbite w formie krzyża, i zanieść je do kościoła. Sam własnoręcznie uniósł z ołtarza figurę Chrystusa z Oceanu i przybił ją do tych prostych, grubych desek, szczątków łodzi rybackiej, co przed pięciu laty zginęła w noc burzliwą.

Nieciosany, prosty i niepozorny krzyż zajął w głównej nawie miejsce złotego, od klejnotów błyszczącego.

Nie oderwał się od niego Chrystus z Oceanu. Pozostał na zawsze umocowany do tego drzewa, na którem marli w burzę pracownicy morza, ludzie prości i twardej doli. Z wysokości tych szczątków łodzi rybackiej spogląda słodko i dobrotliwie i zdaje się mówić:

— Nie z drzewa drogiego i złota jest mój krzyż, jeno ze wszystkich bólów ludzkich, trosk i prac, jeno ze znojów i trudów, gdyż zaprawdę jestem Bogiem biedaków i tych, co łzy cierpią.

PIEŚŃ STRZELECKA.

Kordony dzielą ojczyznę
na trzy niewolne zagony,
by zgoić narodu bliznę,
tworzymy strzelców plutony!

Społecznej krzywda niedoli
stosunków naszych osnową:
— wyrwiemy Polskę z niewoli!
Stworzymy Polskę ludową!!

Słyszycie kruków krakanie,
więc smutek w sercu wam gości...?
— Wesoło tworzyć kompanie.
Szermierze Niepodległości!!

Tam, kędy dumnej Warszawy
są place i Wisły brzegi —
tam opar wznosi się krwawy...
Hej, baczność!! Formuj szeregi!!

Idziemy niecić pożary!
Błysk broni jest naszą mową!
— aż mrok rozwidni su szary,
— aż wstanie Polska ludowa!!...

Aż błyśnie świt upragniony —
rozświetli krwawe zaułki,
będziemy tworzyć plutony,
będziemy formować pułki!

Wysiłek nie będzie płonny!
A gdy się znajdziem u mety,
zawiesim sztandar skrwawiony!!
Postawim krwawe bagnety!!

Weźmiemy w ręce znów pługi
i pójdziem, cisi oracze — — —
...Jak świat szeroki i długi,
kruk żaden więcej nie kracze!...

W ręce weźmiemy topory,
Weźmiemy w ręce znów młoty!!
— uzdrawiać świat pójdziem chory,
— utrwalać świt będziem złoty!

Lecz baczność!... Meta daleko!! — —
śród dymu nie widać słońca!!!...
niech nasze serca wyrzeką:
„wytrwamy w walce do końca"!!!

Bolesław Lubicz.

KSIĄŻKA.

Kazio nudził się coraz więcej.

Tak się nudził, że już ani mu się jeść nie chciało, ani chodzić, ani leżeć, ani spać.

Przystawił jeszcze stołek do kredensu, wywindował się nań i spróbował napić się wody. Było to jednak tak samo nudne, jak wszystko inne.

W karafce, oburącz wysuniętej pod smugę słoneczną, zadrżało światło i wykwitł ostry tęczowy nawias, przy samem dnie. Jednak, gdy Kazio postawił karafkę w cieniu na kredensie — nawias znikł.

W otwartem oknie snuły się czarne muchy, złote, słońcem huśtane pasy powietrza i wszystkie głosy podwórza.

Kazio przygadywał im gderliwie. Tak, tak! Na trzeciem piętrze pokojówka ubija białka, na drugiem dwaj uczniowie siedzą na zydelku i grają w scyzoryki — nigdy mu z sobą grać nie dali. Scyzoryk skacze na desce niby wielki komar stalowy — a oni sami schyleni jak scyzoryki!... na dole zaś stróż trzepie dywany.

Co robić?...

Czy składać papierowe solniczki, „prowadzić" sklep, czy pisać w zeszycie kaligrafii ulubioną literę „K" — duże i małe... Czy pójść do kuchni i patrzeć, jak kucharka Filipina szumuje rosół?...

Zapatrzył się na białe firanki, poza któremi wysoko — bez końca, bez końca, bez końca, — płynęło niebieskie niebo.

Odeszły gdzieś wszystkie głosy, znikł stuk scyzoryka, rozwiało się trzepanie dywanów. Został na stołku przy kredensie sam Kazio, z oczyma, pełnemi czystego, ciepłego nieba, z tym samym równym głosem w piersi. Pukało w niej raz za razem, jakby ktoś miał otworzyć — furtkę? Furtkę, drzwi, bramę, dom? Pałac? Fortecę?... Cyrk?... Co?

Ktoś szedł przez korytarz, dzwoniąc kluczami.

To mama!!

Kazio zeskoczył na podłogę i czekał.

Weszła zarumieniona, w białym dzierganym kaftaniku. Zmrużone oczy prószyły przez długie czarne rzęsy zielonem światłem. W trójkącie marynarskiego wycięcia na białej piersi kraśniał duży gwoździk — niby malutki strzęp płomienia.

Kazio przypomniał sobie coś ważnego, zatrzymał matkę i przytulił się do niej, żeby jej to powiedzieć.

Trzymał ją mocno obiema rękami, uwikłanemi w koronkę białego kaftana, z uchem przytulonem do matczynej postaci. Szumiało w niej dziwne ciepło, słodsze niż słońce.

— Ale czekaj, Kaziu, puść mnie, bo nie mam czasu.

— Ja też nie mam — odpowiedział z wyrzutem.

— No więc widzisz, tem bardziej!

— Kiedy się nudzę...

— Więc rób coś — sam mówisz, że nie masz czasu.

— Nie mam czasu, bo się bardzo nudzę.

Mama usiadła na stołku przy stole i posadziła sobie Kazia na kolanach.

— Baw się żołnierzami.

Zaprzeczył niechętnie głową.

— Baw się piłką. Ucz się. Nie? To ścieraj kurze. Nie? No to czytaj coś, przecież już umiesz czytać. Inni chłopcy w twoim wieku... nawet nie przeczytałeś książki, którą ci dałam na imieniny. Żebyś wiedział, że mi to przykrość sprawia.

— Ja czytam tylko szkolne książki.

— No to mnie puść, bo nie mam czasu. Patrzno, pająk, pająk idzie po suficie.

Wiedział, co to znaczy, tem niemniej zadarł głowę do góry. Na odkrytą szyję spadł mu pocałunek, zupełnie jak gorąca gwiazda.

---

i przejdźmy do „*least not last* — jak pisze pan Biliński — Karola Marxa".

O Marksie opowiada dr. Biliński, że w roku 1850 ogłosił on manifest, zawierający program socyalistyczny, do dziśdnia obowiązujący. W tym rzekomym programie Marx przedstawia środki, zapomocą których socyaliści mają dążyć do pochwycenia władzy, a które dr. Biliński streszcza następująco: „morderstwo, rabunek i pożogi w celu ostatecznego skonfiskowania wszystkich majątków na rzecz kosmopolitycznej republiki roboczej". Zbyteczne chyba dodawać, że we wszystkiem tem, począwszy od daty, a skończywszy na treści, niema ani jednego słowa prawdy.

Szczytem jednakowoż uczoności jest streszczenie „Kapitału" Marxa przez lwowskiego profesora ekonomii politycznej. Dr. Biliński powiada mianowicie dosłownie, iż w „Kapitale" „stara się autor dowieść, że przedsiębiorca pobiera zysk jedynie z tego, co urywa robotnikom (z tak zw. „galarety pracy!")".

Czy tą paradną „galaretą pracy" ktoś złośliwy wziął na kawał szanownego „uczonego" polskiego, aby skompromitować jego „źródłową wiedzę", czy też wyskoczyła ona z własnego mózgu lwowskiego profesora ekonomii, jak Minerwa z głowy Zeusa — niepodobna dziś dociec.

Ta „galareta" dostatecznie charakteryzuje „naukowy rynsztunek", w jakim urzędowa „nauka polska" wybrała się na bój przeciw socyalizmowi...

Nie do wiary, a jednak prawdziwe, że takie niesłychane bzdurstwa pisała o socyalizmie przed 30 laty „trzeźwa i sprawiedliwa nauka" polska. Te „naukowe" osobliwości jednakowoż służyły p. Bilińskiemu tylko za dekoracyę właściwego celu jego pamfletu, mianowicie uroczystego twierdzenia, że „każdy organizm państwowy ma prawo bronienia się w pierwszym rzędzie siłą fizyczną od tych, którzy godzą na jego egzystencyę", i że socyalizm, „o ile chce swoje rzekome ideały urzeczywistniać, o tyle jest zbrodnią i podpada ramieniu sprawiedliwości".

Zastanawia się tedy p. Biliński, czy do wytępienia socyalizmu potrzebne są ustawy wyjątkowe i dochodzi do wniosku, że w Austryi wystarczą ustawy istniejące. „Wszak nasze ustawy o stowarzyszeniach i zgromadzeniach nie tamują bynajmniej prewencyjnej czynności władz administracyjnych", t. zn. zakazywania zgromadzeń i stowarzyszeń. Z kodeksu zaś karnego poleca p. Biliński uwadze usłużnych prokuratorów i sędziów § 58 *b* i *c*, oraz §§ 285, 302 i 305, jako szczególnie zdatne do stosowania przeciw socyalistom.

Aby zaś zupełnie „wykorzenić socyalizm", proponuje p. Biliński nadto wprowadzenie przymusowych stowarzyszeń cechowych, a w dalszej przyszłości ubezpieczenia na starość „bez narażenia interesów skarbu publicznego", czyli, jak w innem miejscu tejże broszury pisze, „bez ofiar ze strony skarbu publicznego".

Stwierdziwszy dalej, że „społeczeństwo polskie jest w ogólności zupełnie nieprzystępne dla socyalizmu, który nie zgadza się z jego usposobieniem narodowem i religijnem", kończy p. Biliński swój pamflet słowy: „Bóg i Ojczyzna".

Dziś, po 30 latach, p. Biliński pierwszy uśmiałby się serdecznie, gdyby przeczytał to swoje dawne wypracowanie. Albowiem mimo braku wiedzy naukowej jest on niezwykle rozsądnym człowiekiem, obdarzonym z natury ogromnie sprytnym umysłem. Z biegiem czasu zrozumiał on lepiej, niż wielu innych burżuazyjnych polityków polskich, że socyalizmu nie wytrzebią ani argumenty o „galarecie pracy", ani szykany i prześladowania policyjne i sądowe, ani stowarzyszenia cechowe, ani reformy społeczne, że socyalizm nie jest „zbrodnią, podpadającą pod kodeks karny", lecz uprawnionym i koniecznym ruchem społeczno-politycznym, reprezentującym interesy klasy robotniczej, ruchem rosnącym stale, dla którego i polskie społeczeństwo okazało się „przystępnem" i z którym zupełnie inaczej polityka liczyć się musi, niż on to przed 30 laty proponował.

Zestawienie tej broszury dra Bilińskiego z jego mową, którą przed dwoma niespełna laty jako prezes Koła polskiego wygłosił w parlamencie, oddając sprawiedliwe uznanie socyalistom, broniąc ich przed zarzutem, jakoby nie byli narodowymi, — zawiera jaskrawą charakterystykę olbrzymiej zmiany stosunków galicyjskich w ciągu lat trzydziestu — zmiany, wywołanej wytrwałą, pełną poświęcenia działalnością socyalistów, którzy, żadnemi prześladowaniami nie dając się złamać ani zachwiać, wywalczyli dążnościom wyzwoleńczym klasy robotniczej pełne prawo obywatelstwa.

Mama wyszła. Szedł za nią, ale zatrzymało go lustro w salonie. Widział samego siebie w czarnych pończochach i czarnych ciepłych chodakach, w granatowej bluzce z białą kotwicą na ramieniu.

W salonie było cicho, a za oknami jeszcze ciszej. Chwiały się lekko rude drzewa, na trawę czasem spadał złoty liść i znikał pośród innych, leżących wszędzie; dalej za trawą i za drzewami, błyszczały mury miasta, dachy i wieże, godzinami bijące.

— Czytaj — czytaj — przypomniał sobie Kazio z bezradnym gniewem. Tem bardziej, że pod pomarańczową aksamitną kanapą salonu biegli afgańczycy czarni, w niebieskich tureckich spodniach, czerwonych kaftanach, z nożami w zębach.

Ustawił ich tu jeszcze rano. Mieli wsiąść na papierowe łodzie i przeprawić się przez jezioro „Dywan“ na drugą stronę w okolice „Stołu“. Tam czyhali na nich sokoli, pułk prusaków i hoplici we „wściekłych“ zbrojach pod dowództwem wziętego z biurka, bronzowego Napoleona z założonemi rękoma.

Nie chciało się Kaziowi opowiadać im, co robią. Przecież to nie było prawdziwe...

Ażeby przekonać mamę, że rada jej była zła i — do niczego, — postanowił „uczytać“ trochę tej książki, którą dostał na imieniny. Była czerwona ze złotemi literami. Odczytać ich nie mógł, bo miały za dużo ozdób i zawijasów ze wszystkich stron. Pamiętał niektóre obrazki: Okręt wśród bałwanów morskich i przestraszony chłopiec przy maszcie. Albo, pan w korzuchu z brodą, który je z miski, w namiocie, a na ramieniu trzyma papugę. Były tam także różne inne.

Książka ta leżała na stole w salonie.

Otworzył ją i powąchał. Pachniała ni to kminkiem, ni to pastą do trzewików. Stronice miała śliskie, błyszczące i było ich ogromnie dużo.

Jak długo czyta się taką książkę?

Chyba rok. Cały rok — czytaj i czytaj. Otworzywszy na ostatniej stronicy, gdzie stoi napisane „koniec“ — Kazio westchnął. Kiedyż to on doczyta do końca?

Żeby mamie zrobić przyjemność, zaczął od początku od dużej litery w ramce czerwonej. Przeczytał dwie kartki, nic nie rozumiejąc. Jakiś Wiliam, jakiś ojciec — zkąd, co, dlaczego, poco? I rozmówek po drodze prawie że nie było. Opuścił kilka stronic. Tymczasem dalej mówili do siebie jacyś ludzie, których dawniej wcale nie było i działy się rzeczy niezrozumiałe, jak ta burza na okręcie albo picie dymiącego grogu.

Co to znaczy grog?! Skąd się bierze?! I dlaczego właśnie — grog?!!!

Utkwiwszy oczy w pośrodku stronicy, patrzał ze złością na to nieznośne słowo, które mimo że je przesylabizował z dziesięć razy, wcale się nie zmieniało.

Ze łzami w oczach pobiegł do kuchni i powiedział mamie, że takich głupich książek *on* czytać nie będzie.

Na drugi dzień spytał frotera Jana, czy pił „kiedy w życiu“ grog, na co Jan odpowiedział, że nigdy.

Był to ostateczny wyrok na Robinzona.

Zresztą, gdyby Robinzon nie miał początku — to owszem, możnaby go czytać. Ale z początkiem?!

— Robinzon pokłócił się z własnym ojcem — dlatego go nie cierpię.

— Robinzon bardzo tego później żałował — odpowiedziała mama już w przedpokoju. Szła dziś do miasta pierwszy raz w nowym aksamitnym płaszczu z koronką pod szyją.

— Dlaczego żałował?

— Czytaj, to się dowiesz.

Kazio obraził się. Gdy wyszła, wszedł do kuchni pogadać z Filipiną.

Siadłszy na komodzie, opowiadał o Robinzonie (Filipina i tak na niczem się nie zna), o hoplitach i znów o Robinzonie, który pokłócił się z własnym ojcem.

Filipina siedziała naprzeciwko, cerując na drewnianym grzybku ogromną białą pończochę.

— Czy rozumiesz to, Filipino?

— Cóżem-to, głucha?

— Można być niegłuchym i można nie rozumieć. Patrz się na mnie, bo ci pokazuję, jak to było?

Zagłębiał bystre spojrzenie czarnych swych oczu w mętnych, w coraz mętniejszych źrenicach Filipiny.

A potem Robinzon wyjechał — na wieki. Cóż ty na to?

Usta miała otwarte, oczy zamknięte, ręce z grzybkiem i pończochą złożone na kolanie.

Kazio, dwoma palcami, lekko odsunął jej górną powiekę, pod którą ukazało się oko okrągłe, jak u ryby.

Ona śpi! — pomyślał z oburzeniem i wyszedł.

Tak, tak, tak — tykał za nim biały kuchenny zegar.

W salonie na posadzce leżały czerwone promienie zachodzącego słońca.

Ale za karę, tak, za karę musiał Robinzon żałować. Co musiał robić? Żałować.

Nagle wielkie współczucie ogarnęło Kazia: Oto ten jakiś nieznany, niewidziany Robinzon może niechcący, nienaumyślnie pokłócił się z ojcem, a teraz żałuje. Czy nie można na to poradzić?

Kazio, wziąwszy książkę ze stołu, podszedł ku oknu i zaczął czytać, jeszcze raz od początku. Powoli sunął z wiersza na wiersz. Szły słowa jedne za drugiemi, ale za niemi!... W środku tej cienkiej kartki papieru, pod nią, czy nad nią, gdzieś naprawdę... Robinzon uciekł z domu, płynął okrętem — orkan wyjący!...

Mrok już panował zupełny, litery zlały się w jeden szary sznurek, odczytać ich już nie można było — orkan zaś szalał i szalał.

Co stanie się z Robinzonem?!

Dokoła było wszystko tak samo, lecz nie tu i nie tam płynął rozbitek, szalała burza... Nie tu i nie tam!

Srogi żal ścisnął serce Kazia, że Kaziem jest, że nie jest ówdzie, het, het, daleko..

Czarne niebo, jak morze, słało się nad połyskiem odległych dachów miasta.

Może ktoś teraz płynie?... Może wszystko jest inaczej?...

Minęło kilka dni. Kazio wstydził się, że czyta. Nikomu nie chciał powiedzieć i nie powiedziałby za nic w świecie o tem, co działo się w książce. Krył się z nią we dnie na strych, wieczorem do pustego salonu, rano chował ją pod poduszkę swego łóżka.

Tymczasem Piętaszek nauczył się mówić i rozpoczęła się walka z ludożercami.

Deszcz głośny stukał o dach strychu, długie krople toczyły się po maleńkiej ukośnej szybce, gdy na pokładzie okrętu, rażony strzałą śmiertelną, umarł wierny Piętaszek.

Tego samego dnia, wieczorem o zmroku, w salonie, przybył stary już Robinzon do drogiej ojczyzny i za swe pieniądze założył jakieś dobroczynne rzeczy.

„Koniec.“ Na następnej stronicy nie było nic — potem okładka.

Co dalej? Dlaczego koniec? Dlaczego, aby się to nie potrzebowało kończyć, Robinzon ciągle, ciągle nie jest na wyspie?...

Przez dwa dni chował Kazio bułki i cukier. Ze spiżarni usypał do pudełek maleńkich, po proszkach na ból głowy, trochę ryżu i rodzynek. Naciągnął dwa trzcinowe łuki i wyostrzył dwanaście strzał. Żeby wiedzieć, jak wszystko iść powinno, zapakował do tornistra swego Robinzona.

Nad wieczorem, gdy mama robiła w kuchni rachunek z Filipiną — wyruszył.

Króciutki płacz zatrzymał go na schodach, że oto minąć musi wiele lat, aż on, jako starzec, powróci z wyspy, odszuka grób rodziców, którzy już nie będą żyli.

— Były to, jak się później dowiedziałem, bataty — przypomniało mu się z książki.

Na ulicach płonęły latarnie. Za miastem, za rogatką na błoniach płynęła ciemność głęboka, przetkana rzadkim, cichym szelestem krzewów. Nad rowami drżały słodkie dreszcze uwiędłej olszyny. Niebo zlało się z ziemią w bezmiar przytulny.

Kazio szedł prędko naprzód, targany żalem i przestrachem. To tu, to tam, z chłodnych wieczornych odmętów wyłaniały się jasne smugi, niby białe wyciągnięte ręce mamy.

Przystawał, nasłuchując. Szum miasta i turkot gościńca usuwał się w bok. Złotych światełek coraz mniej było — i mniej. Wiatr się przeciągał na pustem błoniu, długi, smutny, strudzony.

— Były to, jak się później dowiedziałem — powtarzał sobie Kazio w duchu, idąc ze zmarszczonemi brwiami, zagniewany i srogi ze strachu.

Nagle rozpękło niebo, srebrna rysa przeleciała zygzakiem z góry na dół. W blasku błyskawicy ujrzał Kazio naprzeciw siebie rząd białych postaci w czarnych, trójkątnych czapach. Wraz z błyskawicą znikli.

— Karaimowie! Ludożercy!!

Zerwał łuk z pleców i czekał ze strzałą na cięciwie.

Potężny grzmot przetoczył się po niebie, ginąc długo w głębinach nocy.

Znów światło! Stali naprzeciw niego długim rzędem. Nie mówiąc ani słowa, wystrzelił. Głośno stuknęła strzała o drzewo.

— Ludożercy w drewnianych pancerzach!

Przy świetle błyskawic raził ich celnymi strzałami, ale miał ich tylko dwanaście.

Ryk straszliwy rozdarł powietrze. Burza szalała nad błoniem.

Kazio rzucił się ze stołowym nożem na ludożerców. Zadrżały mu w oczach zwoje błyskawic, przesypane tysiącami gwiazd, i naraz wszystko znikło.

Po rozległem błoniu niósł się dźwięczny, skoczny deszcz jesiennej ulewy. Błyskawice znikły w ostatnich stalowych jasnościach uciekającej nocy. Wypogodziło się granatowe niebo. Zadrżały w zwartych jego sklepieniach tysiące gwiazd.

Chłód przejmujący obudził Kazia. Blizko, że zda się ręką sięgnąć, patrzy mu w oczy srebrny krąg księżyca. Przemoknięty do nitki, powlókł się wyżej na jakieś suchsze miejsce. Głowa ciężyła mu niezmiernie, spuchnięte nogi nie chciały iść, tornister bił w plecy — i bił.

Wybuchy żalu za mamą, trud, troska o to morze, o statek niespotkany, na którym rozbić się dopiero trzeba będzie — wszystko znikło w ukoju jesiennej nocy.

— A dyć go tyrpię i tyrpię, kiej śpi jak zabity! — I znów: Szprytusu jakiego, czy co?!

Głosy te szorstkie i twarde spłynęły w jasnoniebieską smugę, na której huśtały się białe i złote obłoki...

— Chłopiec?! Chłopiec — a czyjżeś ty?

Kazio otworzył oczy. Pochylała się nad nim twarz spękana, żółta jak ulęgałka, z kwiatuszkami na białym czepcu. Kraciasta chusta w pochyleniu postaci zwieszała się na obie strony, niebieskim cieniem włócząc po murawie. Zaś z tego snopka barw ręce sterczały lśniące i jak bronz twarde.

— Czyjżeś ty, mały?

Zdumiony patrzył na pochyloną babinę. Sypały się po niej, po czepcu, rękach i twarzy złote groszki, strąki i centy blasku, co niemi ciskał, we mgle porannej rozchwiany szereg wierzb.

W rowie opodal z butami przez plecy przewieszonymi siedział chłop i pykał z fajki.

— Gdzieżeś się tak utaptał, gdzież cię tak rozbiło? — pytała baba.

Obok Kazia na trawie leżał tornister, łuk, rozsypane w krąg rodzynki, cukier, dwie bułki, kiełbaska, nóż i — ufarbowane okładką, co puściła na deszczu, rozwarte karty Robinzona.

— A siniaka jakiego to ma na skroni!!

Kazio z niezmiernym trudem podniósł się. Naprzeciw, o kilka kroków dalej, stali spokojnie ludożercy — cały rząd pojedyńczych słupów drewnianych o czarnych szpicach. Odgradzał błonie od drogi.

— Widzisz, teraz ci statki pozbieram i pojedziemy.

Skarżył się, stękał i narzekał. Wzięli go oboje za ręce i poszli w stronę wozu. Chłop wylazł na przednie siedzenie, baba, między jedną a drugą blaszanką, zimną jak lód, usadowiła się na tylnem. Koszyki z serem przesunęła ku przodowi.

— A ty se siadaj tu blizko, to ci będzie cieplej.

Powiedział im, gdzie mieszka — i znów wszystko mu się przemieniło w oczach, niby biała, złota i niebieska woda.

Błonia sunęły w tył, wózek naprzód, słońce pod górę szło, a z pod wózka droga kamienista cierpliwie umykała coraz dalej od miasta, że mury jego we mgle srebrnej podchodziły coraz bliżej. Pochyliła się głowa Kazia na ciepły podołek baby. Twarde ręce głasnęły go po czole. Kołysany wonią słomy, siana i mleka — zasnął twardo.

Niezmierzona fala słodyczy gdzieś go poniosła. Wykwitły z niej gorące światła. W cieniu długich, rozpuszczonych włosów, które mu spływały z góry aż na piersi, rozpoznał Kazio nad sobą twarz mamy i jej wielkie, zielono-szare oczy.

Na progu kuchni w białej sukmanie stojący chłop rękami wymachiwał i gadał coś ze śmiechem. Słońce mu przez rózgi siwych wąsów szło, że były jak złote.

— Gdzieś ty był, Kaziu, mój Kaziu, synku!!

Zrozumiał coś w głosie matki, czego dotychczas nigdy nie słyszał. Wzniósł się, aby powiedzieć prawdę. Zarzucił matce ręce na szyję i do ucha: „Bo przeczytałem śliczną książkę, mamusiu. Bo takiej książki już nigdy, nigdy, nigdy nie przeczytam“...

Rozpłakał się. Rzęsiste łzy płynęły mu aż na szyję i po ciemnych matczynych włosach.

— Dziecko, ty bredzisz, Kaziu!

Zamachał rękami.

Właśnie chłop przestąpił ostrożnie próg, podając zabłocony tornister.

Kazio, wyjąwszy coprędzej Robinzona, dał go matce i ukrył twarz na jej piersiach.

Otworzyła książkę, której kartki, przepojone czerwienią oprawy, różowiły się, niby pociągnięte jasnym nalotem zorzy.

Juliusz Kaden.

Szopka w Rzeszowie.

PROLOG.

(Tłum mazurów-kolonistów na terenach borysławskich, wpatrzony w gwiazdę, śpiewa).

Tłum:

Jakaż to gwiazda świeci na wschodzie?
Gwiazda nowego imienia!

Głosy anielskie: („Puppchen, du bist“ itd.):

Nafta! Czy jest piękniejsza ciecz!
Nafta! Spirytus przed nią precz!

Tłum:

Święci wołają: „Ciesz się, narodzie,
To gwiazda twego zbawienia!“

Głosy anielskie:

Przez naftę, tak Pan ogłasza,
Da Mesyasza — Wam Mesyasza!

Razem (chłopi na klęczkach):

Nafta! O, co za cudna ciecz!
Nafta! Gorzelnik przed nią — precz!
Nafciarz! — —

AKT 1.

W drodze do żłóbka.

(Nuta: „Na brudnych falach Dunaju“).

Mesyasz-Nafciarz-gondolier:

Co nam kanały, co brak przemysłu!
My z Tobą płyniem, o droga „Wisło“!
Aż Twoje wody, z Mazowsza kraju,
Znajdą swe ujście w falach Dunaju!
(Przegrywka).

Więc płyń-że „Wisło“, śmiało, kochanko,
Aż prąd cię wrzuci do „Länderbanku“.
Sternika Twego nie w ciemię bito:
Odszuka Twoje złote koryto!

Każdy coś uszczknie, bracia-gazdowie,
Coś każdy chwyci, bośmy posłowie.
A żem jedzenia, pijatyk wrogiem —
Zbądźcie mnie byle (c. k.) pirogiem!

Dla ludu nowa powstanie era:
Chłop każdy będzie nakształt bankiera
I na lud spłyną rządy, podarki,
Lecz wpierw musicie — pochylić karki!

Głosy:

Niech żyje minister!

Solista:

To ci się, panie, słusznie należy!

Nafciarz-Mesyasz (cicho):

Chłop głupi daje, a nafciarz — bierze.

AKT 2.

„Straszny dwór“.

(Północ już była, gdy się zjawiła pod bramą ministra ludzi ćma. Trąby, Świętosy, chłopy od kosy, tak sobie szare, jako mgła. Kędziory, Rejowie i rzymscy hrabiowie przed nimi zwartą stają ławą. Na stróżów wołają: „Niech baczność dają, barany i owce niech odpędzają, tu bowiem nie wiece, ni podobne hece — minister zajęty sprawą“).

Dudzio (w salonach ministra):

Wolno, wolno, panie bracie!
Przewyborny jest nasz plan...
On nam wrogiem w naszej chacie:
„Do Kanady ruszaj, Jan!“

Chór (kończy):

On nam wrogiem w naszej chacie:
„Do Kanady ruszaj, Jan!“

Podolak:

Czas już skończyć z tym półchłopkiem!
Co ma z niego naszych stan?
Nie chce szlachty być parobkiem —
„Do Kanady ruszaj, Jan!“

Chór (podobnie, jak wyżej).

Hrabia rzymski:

Przed naradą czy bitwą
Słuszne, rzecz każdą rozpocząć modlitwą.
(Śpiewa, a z nim reszta):
Panie, coś szlachtę przez tak liczne wieki
Okrywał blaskiem potęgi i chwały,
Nagle z pod swojej usunął opieki,
Oddając warstwom, co jej służbowały!
Przy Tobie stojąc, zanosim błaganie:
Ginącej szlachcie racz dać wolność, Panie!

Nafciarz-Mesyasz (na nutę z „Gejszy“).

Plan mój prosty i z pewnością
Nie zawiedzie nas.
Zwalim Jasia ludu złością,
Gniewem jego maś!

Wskażem szereg cyfer ścisły,
Ile pobrał z kas
I od rządu, i za „Wisłę“,
Biorąc lud „na bas“.

Chór:

Nafciarz rozum ma i nie robi scen,
Lecz gdy raz się już zapali — Jasiek pójdzie hen!

Nafciarz:

Nafta olej ma i obfity trzos!
Nim to właśnie mu zgotuje godny Jaśka los!

(Ze śpiewem: „Patrz, Branicki, na nas z nieba!“ odchodzą. Zapada ciemność, którą później rozświetla nafta).

AKT 3.

W Rzeszowie: Śpiew Murzyna.

Bojko (zagaja):

Adamie, ty boży kmieciu,
Błogosław naszemu wiecu!
Spuść nam zbożny czas
— Kyrye elejson, Chryste elejson.

Mesyasz-Nafciarz:

W stronnictwie trzeba zrobić ład
I rzec, kto dawał, a kto wziął!

Głosy:

— Po Jasia barkach tyś się piął,
Tyś jest minister, a on — dziad!

Nafciarz:

Ilem ja rozdał — Bóg to wie!
Może to nawet był mój błąd!

Głosy:

Ileś dawał, o tem wie rząd.
Nie smuć się więc, nie jest tak źle!

Nafciarz:

A o tem wiecie, mili kpy,
Że pół miliona dostał Jaś!
Skompromitował nas, by zaś — —

Głosy:

Dość, dość, Jasiek, mów teraz ty!

Kolęda Murzyna (nuta: „W dzień Bożego narodzenia“)

Czystym bywał przez lat tyle,
Kiedym wpośród chłopów chadzał.
Wprawdzie ciężkie miałem chwile,
Lecz je za to lud osładzał
I nagradzał.

Czystym bywał w twardej walce,
Kiedym chłopa wiódł do boju!
Nie zbrukane miałem palce,
Gdy mi lud ten był ostoją
Z nędzą swoją.

Alem wdał się z jaśnie pany,
Z nafciarzami, łykiem, władzą,
Dziś jam cały zawalany
Gorzej niż kominiarz sadzą —
Czarną sadzą!

Patrzcie, chłopy! Co za skutki
I szukajcie, czyja wina,
Że za czas ten taki krótki
Przeoblokłem się w murzyna,
Ja — w murzyna!

Dość mi tego brudu, kału,
Dość nafciarzy i geszeftu!
Przy mnie stańcie z dawną chwałą
I bojowy nućcie śpiew tu
— Dość geszeftu!

Wszak widzicie fakt uznany:
— Coś w rodzaju jakby cudu —
Że człek, bawiąc z jasne pany,
Jest jak murzyn, czarny z brudu
Czarny z brudu!

Alem wasz jest, jak wy — chłop-ci!
Śmiecie wnet uprzątniem z domu:
Precz z nafciarzem — niech się kopci!
Precz z jasnymi, bo dość sromu
W naszym domu!

(Mesyasz-Nafciarz znika, a z nim żłóbek. Zdaleka dobiega echo jego śpiewu: „Jam sławę także w cyrku miał, mnie królem skoczków każdy zwał“. Chłopi ruszają z Murzynem. Kurtyna spada).

tk.

Bohaterskiej pamięci J. Mireckiego.

CZYN.

Mój wróg ma krwawe ręce — ręce najezdnika
Pierścieniem groźnej męki mój naród otoczył...
Lecz oto ostra radość moją pierś przenika:
Padł władca — dumny władca z ręki niewolnika —
To jam swą dłoń orężną w jego krwi zabroczył
Nie zmogła przemoc nocy ducha błyskawicy — —
Mój piorun jasne kręgi w wielką ciemń zatoczył —
Jam słyszał płacz sierocy, idąc ku stolicy
I trupy krwawe ojców, zwisłe z szubienicy,
Promieniem krwawej męki oskrzydlił, otoczył
Duch rzeźbi szlak wolności — Wolą pierś przenika
I w świt rozwidnia modry mgły upiornej nocy...
Ha!... próżno wołasz łaski, i wołasz pomocy!!
— — — — — — — — — — —
— — — — — — — — — — —
Mój wróg miał krwawe ręce — ręce najezdnika
A ja słyszałem w miastach krwawy płacz sierocy —

Zygmunt Ból.

DLACZEGO?

Na takie pytanie często nie otrzymujemy żadnej odpowiedzi. Przyrodnicy wiedzą dobrze, że w rzeczach przyrodniczych nigdy dotąd odpowiedzi nie było, pytają więc znacznie skromniej — jak? Z zapytaniem jaki? i dlaczego? zwracam się jednak nie do przyrodników, tylko do wszystkich ludzi, zajmujących się rzeczami społecznemi. Ci podobno zawsze umieją dać odpowiedź na jedno i drugie pytanie.

Wydział krajowy skreślił „ogromną“ dotacyę 5000 koron na wydawnictwo „Atlasu geologicznego Galicyi“ — bo bieda w kraju. Pytanie dlaczego? ciśnie się tak bardzo pod pióro, że nie waham się rzucić je publicznie. Rozumiem bowiem, że to skreślenie jest bolesną w chwili obecnej nawet hańbiącą rezygnacyą ze swych praw i obowiązków, z prawa narodu do życia i z obowiązku narodu do poznania warunków przyrodniczych swego rozwoju. Nie zrozumiem też nigdy, dlaczego się tak stało i dlaczego właśnie w tej chwili tak się stało. Zbiegło się przypadkiem kilka wydarzeń, napewno bez zamierzonego związku ze sobą, ale nie mniej tkwiących głęboko we wspólnem podłożu, a więc tem jaskrawiej ilustrujących nasz stosunek do pewnych zjawisk przyrodniczo-ekonomicznych.

Nie będę wyliczał tego długiego szeregu ogromnych liczb, które najwymowniej mówią, co za bezcenne skarby straciliśmy na rzecz naszych wrogów, a to tylko skutkiem nieświadomości, nieznajomości tego, co posiadamy. Wystarczą dwa magiczne wyrazy: ropa i węgiel, aby w pamięci wszystkich odżyły te palące wstydem biadania na temat naszych strat i te bezsilne nawoływania do samopomocy, do ratowania, co się da. Jak dotąd robimy wciąż wrażenie ludzi impregnowanych nieszczęściem; nasze odruchy obrony są to jakby odruchy człowieka budzącego się z ciężkiego, głębokiego snu. Czyny nasze mają niestety jeszcze wciąż cechy czynów podświadomych.

Kiedy w r. 1909 Krajowy Związek górników i hutników wydał monografię Krakowskiego zagłębia węglowego, wypadło ze spisu literatury naukowej w tym przedmiocie, że nasz, polski udział w naukowem zbadaniu Zagłębia określa się liczbą 24 proc. na 76 proc. produk-

cyi naukowej obcej. W ciągu ubiegłych lat stosunek zmienia się wciąż na naszą niekorzyść, bo na kilka zaledwie prac polskich wypada w tym samym czasie kilkanaście prac niemieckich! Taki stan rzeczy nie może nikogo dziwić, bo u nas na badania niema pieniędzy. Nie tylko na to, ale nawet na odpowiednie wydanie rzeczy już zbadanych niema sposobu, bo niema pieniędzy na fachowy organ geologiczny, z którym musianoby się już i zagranicą liczyć. Efekt jest nie tylko taki, że badają obcy, ale też i taki, że prace badaczy polskich „uprzystępniają“ zagranicy obcy — naturalnie na swój sposób. Że przy tem giną gdzieś nazwiska Polaków, a ich rezultaty naukowe stają się własnością „uprzystępniających“ je — to jeszcze drobnostka. Że jakiś p. Siegfried ma taką metodę, a inny inną, to może oburzać, ale równocześnie prze do tem intenzywniejszej pracy.

Tymczasem nawet na tę minimalną produkcyę naukową, na podtrzymywanie tego słabego znaku życia — brakło nagle pieniędzy. Brakło, bo kraj przeszedł ciężkie położenie polityczne, bo zniszczyły go powodzie itd. itd. Czy jednak naprawdę brak tylko pieniędzy, czy nie brak jeszcze czegoś, może czegoś ważniejszego? Obok nas leżące Śląsk i Morawy jakoś poradziły sobie nawet i na długotrwałe deszcze, zbudowały bowiem zbiorniki powodziowe i nie tylko, że ochroniły od milionowych strat rolnictwo, ale ciągną jeszcze inne korzyści z zatamowania wód. U nas zaś poza stratami powodzi mamy jeszcze takie n. p. widowisko, że jeden wielki prezes jednego ogromnego towarzystwa, wraz ze swym sekretarzem, profesorem jednej z wyższych uczelni agronomicznych, wzywają państwowy zakład geologiczny w Wiedniu do badań geologicznych w Galicyi „dla celów rolniczych“, a ten zakład państwowy odsyła podanie tych panów do Krakowa do Akademii umiejętności, która z polecenia naszego Wydziału krajowego już dawno opublikowała to, o co tym panom chodziło!

Nie zapuszczając się dalej w ten interesujący las, chciałbym tylko stwierdzić dziwny zbieg okoliczności. Oto w Krakowskiem ostatnie wiercenie za węglem nie daje rezultatu pozytywnego, równocześnie zaś rządowe wiercenie za węglem pod Żywcem daje niespodziewanie ropę! Pruski uczony z Berlina, Gothan, wydaje nakładem pruskiego, państw. Zakładu geologicz., pierwszą część ogromnej monografii Zagłębia górnośląskiego, z mnóstwem tablic i zestawień, gdzie mówi się także niemało o Jaworznie, Sierszy, Libiążu, Tenczynku itd., choć to już dawno nie Śląsk — a tuż potem Wydział krajowy skreśla fundusz na wydanie Atlasu geologicznego!

Na moje pytanie dlaczego? oczywiście nie odpowiem przypuszczeniem, że to dlatego, iż prusacy i tak zrobią to, co zamierzają, a nie warto też kompromitować profesorów wszechnicy i znanego prezesa, bo i po co mają zaprzątać sobie drobiazgami głowę — ale wtedy jaka będzie odpowiedź? *Wiktor Kuźniar.*

POKRZYWY.

Sympatyk „Naprzodu“.

Jest pewien pan, który duszę oddałby za nasze pismo. Tak przynajmniej twierdzi. Od czasu do czasu spotykamy się, a tematem rozmowy bywa „Naprzód“. Nie moja w tem wina, nie moja zasługa. Mój znajomy bowiem sam pierwszy nad nim się rozwodzi. Onegdaj rzecze:

— Piękny jest teraz „Naprzód“. Nowe, panie, czcionki, nowa maszyna, o ile słyszałem. (Coś o niej „Kuryer codzienny“ pisał). Dowiedziałem się, że zwiększyliście personal redakcyjny?

Milczałem, słuchając z uśmiechem.

Mój rozmówca ciągnął dalej:

— Widzę jednak małą usterkę: zamało artykułów socyalistycznych umieszczacie teraz. A to źle. Któż to uczyni, jeżeli nie „Naprzód“? Śmiało, panie, rąbać, walić, kąsać, gryźć to zmurszałe społeczeństwo, o resztę nie pytać!

I tak serdecznie, mocno uścisnął mi na pożegnanie rękę, żem omal nie padł.

Kiedyindziej mówi:

— Wiecie, żem wasz przyjaciel. Dla mnie artykuł o socyalizmie, o ruchu robotniczym, artykuł męski, jasno i wyraziście napisany — to biesiada duchowa. Ale, uważacie, wszystko w miarę. Najsmaczniejsze potrawy, gdy się je często ma, psują apetyt. Mniej polityki, mniej artykułów poważnych, a więcej rzeczy lekko-strawnych. Więcej „mikołajków“. Tu sedno sprawy.

Wkrótce zmienił zdanie.

— Coś się „puszczacie“ na bystre wody. Zaczynacie uwzględniać dział kronikarski. Hm-hm! — mruczał, pełen powagi i namaszczenia. — Niebezpieczny eksperyment! Obyście go nie żałowali!

Przyjąłem do wiadomości uwagę krytyka.

— Moi kochani, — pyta mnie w kilka dni później — któż pisze u was artykuły wstępne? Nie umiecie zachować miary — oto moje zdanie, a sądzę, że nietylko moje. Albo za rzeczowe są wasze „wstępne“, albo za namiętne. Czasem za spokojne, czasem za krzykliwe i jaskrawe!

Pokręcił niechętnie głową, wzruszył ramionami, stwierdzając w ten sposób, że nie przykłada ręki do artykułów wstępnych i nie bierze zań absolutnie żadnej odpowiedzialności.

Sympatyk „Naprzodu“ rozmawiał ze mną jeszcze kilka razy. Zawsze o piśmie. Dziś chwalił to, co ganił wczoraj. Z każdej jego rady błyskawicą korzystano w redakcyi, lecz nic nie zdołało zadowolić jego wymagań. Miłość dla pisma, ukochanie „Naprzodu“ tego sympatyka było aż chorobliwe.

Dowiedziałem się jednak pewnej historyi, która mi tę miłość „Naprzodu“ przedstawiła w innem świetle. Dowiedziałem się, że ten wielbiciel i żarliwy zwolennik nigdy nie kupi egzemplarza pisma robotniczego, a czyta je darmo w kawiarni lub pożycza u znajomych... Z miłości dla „Naprzodu“ — zapewne.

A takich „miłośników“ posiada „Naprzód“ — setki! Takich przyjaciół i sympatyków.

Boże! Chroń nas od przyjaciół!...

(— —).

W. CHOWAŃSKI.

DOBRO I PIĘKNO.

Zdało mi się, że Piękno z Dobrem chodzi w parze,
jako promień słoneczny, co świeci i grzeje,
lub smutki, za którymi jaśnieją nadzieje,
przeto w duszy mej Pięknu stawiałem ołtarze.

I rozmodlonym wzrokiem w tęczowym zachwycie
wielbiłem kształty, rysy dziewczęcia przecudne,
za probierz Dobra miałem Piękna znaki złudne,
dopóki mi omyłki nie wskazało życie.

Dziś, gdy pąki wiośniane rozsieją swe wonie,
gwiazdy przepastnych oczów rozbłysną się skrami,
kocham Piękno zaklęte w młodości koronie,

lecz ono ducha mego już więcej nie mami,
łaknę bowiem prócz pięknej formy boskiej treści
i pytam: ile Dobra ten kwiat w sobie mieści!!...

ŚRODEK.

Moi drodzy panowie, proszę was najuprzejmiej, ostrożnie napinajcie, bo może się doprawdy jakieś nieszczęście stać...

Zadanie mieli nadzwyczaj trudne. Trzeba było, jak gdyby błoną wiotką i delikatną spiąć, a raczej opiąć potężną wypukłość, która na kole ich ciała partyjnego w coraz bardziej przestraszających rysowała się rozmiarach.

Doprawdy błędne koło! — niecierpliwił się opasły prezes. — Nasze koło, jeśli tak dalej pójdzie, stanie się kulą!!

Och, byle tylko nie miało półkul, — niechby było kulą, jeno pamiętajcie, bez półkul... Dałoby to powód do zbyt łatwych przenośni. — Przypinaj, zapinaj, opinaj!!

Moi drodzy panowie, proszę was serdecznie — skarżyła się rozciągliwa, giętka i czuła Opinia — tylko ostrożnie, bo doprawdy...

Nie mogli jednak zważać na jęki rozciągliwego jej kształtu. Niebezpieczna wypukłość wzrastała coraz szybciej. Równocześnie echa jakoweś złowrogie krążyć poczęły w kole ciała partyjnego...

A gdyby tak ucieleśnić ten głos?! Zawsze byliśmy za jak największem światłem...

Do czegóż dojdziemy, jeśli się tu coś na dobre zacznie ucieleśniać! Nie dość nam, że się koło ucieleśnia?!

Istotnie ucieleśniało się coraz obficiej, głuchym, a przecie gromowym głosem świadcząc o niespożytych zgoła zasobach nieprzewidzianej energii.

Rzucili się więc znów wszyscy na pomoc.

Rozpinaj, opinaj, zapinaj!

Nie mogę — jęczała Opinia — nie napinajcie panowie, bo doprawdy nie wytrzymam, i...

Na rozprężonym do ostatecznych granic jej kształcie skazy się rysować jęły sine i rude.

Krutkosz, Krutkosz!! — ryczał ktoś w największem przerażeniu — możebyś ty tu coś pomógł?! Odmroziło się koło i puchnie!... Nafty, nafty, nafty!!... Lunijno bracie!!

Nie mogę.

Spróbuj!

Nie mogę i nie chcę! Spróbuj sam!

Panowie, zlitujcie się — jęczała coraz serdeczniej Opinia — nie rozpinajcie zanadto, bo doprawdy nie wytrzymam i...

I co do stu dyabłów?!

I trzasnę...

Mimo, iż wyda się to niezrozumiałem, a jednak słowo „trzasnę“ usłyszawszy, przerazili się ogromnie. Zrozumieli bowiem w tej chwili, że ona to właśnie zasłaniała znakomicie ich koło, ciało, z partyjnego i życiowego punktu widzenia nieocenionych właściwości pełne, jakoże:

1) z istoty swej złoty środek mające;

2) łatwą drogę nieskończonej ilości punktów przedstawiające w kierunku już to lewym, już to prawym bez różnicy;

3) wpisanie nieskończonej ilości najcudzołożniejszych trójkątów zapewniające;

4) do nieskończonej ilości promieni przywykłe;

5) w równem oddaleniu czy bliskości do złotego środka na obwodzie pozostawać, geometrycznie przymuszone.

Byle nie dwie półkule, byle nie dwie połowy — zaklinał wciąż ten sam głos.

Dlaczego? Ostatecznie dlaczego?

Bo musiałby się między niemi znaleźć... Bo wówczas solidarność... Bo musiałby się między niemi znaleźć złoty środek...

Sytuacya stawała się tragiczną.

Na rozwałkowanej, jak ciasto, napiętej, jak pęcherz, wypiętej, jak kopuła Opinii, raczej na krańcach jej siedzieli, jak wieloznaczące ciężary, najtęższi głowacze zebrania.

To jednak, co przerastało ich głowy, ogromniało jeszcze gwałtowniej. Tu i tam pękały już z trzaskiem i sykiem zbyt opinające i opięte szwy Opinii.

Nagle rozleciała się na drobne kawałeczki i strzępy. Nie czekając na nic więcej, nie pomni czy kula, czy półkule, całość, czy połowy mają przed sobą, byle tylko uratować ośrodek solidarnego ciała, który jako złoty środek z wypukłości ku nim błyskał — rzucili się ku niemu.

Historyczny ten moment uśmiertelnił się w formacyi ich ciała politycznego, dotąd na pamiątkę kołem zwanego, odnalezieniem złotego środka. Środek zaś ten tak ich chłonął, wchłaniał i wsysał, że po czasie wtopili się weń, złączyli się z nim i utożsamili, stając się środkiem w złocie odlanym, za który nabyć można, co, gdzie i kto chce.

Szkoda tylko, że mimo to kraj ich na nic niema środków. *Bok.*

Polacy i polskość na Litwie i Rusi.

Pod tym tytułem ukazała się broszura p. E. Maliszewskiego, zawierające zobrazowanie obecnego stanu polskości na Litwie i Rusi.

Zaczynamy od **Litwy.**

Na pierwszym planie stoi gub. Wileńska z Wilnem. Wilno ma 162 tys. mieszkańców i z tego 53 proc. katolików, 40 proc. żydów, tylko 4·2 prawosławnych. Pod względem wyznaniowym skład ludności Wilna i Warszawy jest jednakowy; Warszawa bowiem liczy 55 proc. katolików, 37 proc. żydów, 4 proc. prawosławnych. Podobnie rzecz się ma i w zakresie podziału narodowego ludności; procent Polaków, w Wilnie jest mniejwięcej ten sam, co i procent katolików. Większość domów w Wilnie należy do Polaków, posiadają oni tam również kilkadziesiąt instytucyj dobroczynnych, społecznych i kulturalnych. Wychodzi około 20 pism polskich (trzy dzienniki), ruch polski księgarski rozwija się pomyślnie. Słowem ruch umysłowy w prastarej stolicy litewskiej bije dziś swojem tętnem dość żywem, tak samo zaś pulsuje w życie i we wszystkich innych dziedzinach.

Jeżeli przejdziemy teraz do gubernii Wileńskiej, to ta na obszarze 42 tys. kilometrów kwadr. więcej niż Holandya, niż Belgia, Dania, Szwajcarya) ma obecnie bezmała 2 miliony mieszkańców. Nie ulega wątpliwości, że ludność polska (poza białoruską) jest najliczniejszą i stanowi główny czynnik rozwoju kulturalnego. Razem w gub. Wileńskiej (wraz z Wilnem) można liczyć 26 proc. Polaków, 43% Białorusinów, dalej idą Litwini, żydzi, Rosyan tylko 4 proc. (odliczając wojsko). 60 proc. ziemi, należącej do właściciel prywatnych, jest w rękach Polaków.

Przy innych miastach i guberniach Litwy nie będziemy się zatrzymywali. Podamy tylko obliczenie dotyczące wszystkich 6 gubernij tak zwanego kraja Północno-Zachodniego.

Liczba Polaków jest następująca:

W gub. Wileńskiej . .	466 tys.	czyli 26,5	Polak.
„ Kowieńskiej .	198 „	„ 11,4	„
„ Grodzieńskiej	305 „	„ 17,0	„
„ Mińskiej . . .	274 „	„ 10,3	„
„ Mohilewskiej .	61 „	„ 3,0	„
„ Witebskiej . .	141 „	„ 8,6	„

Cyfry te są raczej zbyt niskie, niż zbyt wysokie.

Ogólną liczbę Polaków w 6 guberniach Litwy i Białorusi obliczamy zatem na 1,448.549. Razem z przyrostem naturalnym możemy śmiało liczyć obecnie Polaków w tym kraju **na półtora miliona.**

Posiadaną przez Polaków ziemię w sześciu guberniach Litwy i Białorusi obliczano w roku 1897 na 5,172 tysięcy dziesięcin. Odliczają 172 tysiące na stratę, poniesioną od tego czasu, liczyć możemy prywatną własność ziemską polską w tym kraju na **5 milionów dziesięcin.**

A teraz przechodzimy do **Rusi.**

Na pierwszym planie stoi miasto Kijów. Mieszkańców ma 490 tys., w tej liczbie 76 proc. prawosławnych, 11 proc. żydów, 8 proc. katolików (41 tysięcy). Liczba katolików odpowiada prawdopodobnie i tu liczbie Polaków. Wśród ludności polskiej bardzo znaczny procent inteligencyi, skutkiem jednak stosowanych z całą bezwzględnością surowych ograniczeń, nie można ani myśleć o zorganizowaniu wszystkich potrzebnych instytucyj kulturalnych.

Ogólną liczbę Polaków w trzech guberniach (Wołyń, Podole, kijowska) obliczamy na **900 tysięcy**, obszar zaś posiadanej ziemi na **2,300.000 dziesięcin.**

Ogółem więc na Litwie i Rusi (liczby z r. 1909) było z górą **2,3 mil. Polaków,** a ziemi w rękach polskich pozostało jeszcze conajmniej **15 milionów morgów.**

Po skrupulatnych obliczeniach, które skreśliliśmy przed chwilą, autor przechodzi do wniosków ogólnych.

A więc przedewszystkiem: Polacy na równi z Białorusinami, Litwinami i in. stanowią na Litwie i Rusi rdzenny żywioł miejscowy, górujący jednak przeważnie nad otoczeniem tradycyami, inteligencyą, zamożnością.

Od pół wieku już, czyli od nastania ery bezwzględnej eksterminacyi żywiołu polskiego z tych krajów, Polacy licznie dążyli po pracę i chleb do stojących wówczas przed nimi otworem gubernii Rosyi właściwej. Dziś ta tłumna emigracya na wschód ma się już ku końcowi. Politykę eksterminacyjną względem Polaków zaczęły już uprawiać wszystkie niemal zarządy i wydziały państwowe nietylko w Rosyi centralnej, ale nawet na Syberyi i Kaukazie. Obecnie usuwani są Polacy ze wszystkich kolei rządowych. Liczniejsza emigracya na Wschód zostaje w ten sposób zatamowana. Ze zaś nie może być mowy o kolonizowaniu przez Polaków z Litwy przeludnionego Królestwa (ok. 100 mieszkańców na kilometr kwadr., gdy w takiej np. gubernii mińskiej jest ich tylko 29), przeto żywioł polski na Litwie i Rusi jest niejako siłą okoliczności zmuszony do szukania pól pracy na odwiecznym swym terenie.

Z tego punktu widzenia rozważana sytuacya wcale nie jest rozpaczliwa. Wprawdzie dostęp do urzędów jest w tych krajach dla Polaków zamknięty, a w dziedzinie handlu trudną do zwalczenia okazać się może konkurencya, pozostaje jednak ziemia, której obszar, pozostający w rękach polskich, równa się trzem czwartym powierzchni całego Królestwa Polskiego. Na tym terenie zmieścić się może wygodnie czterokrotnie więcej ludności, niż jej tam jest obecnie. Rolnictwo, przemysł, handel i t. zw. zawody wyzwolone mogłyby dać moc stanowisk, ogromne pole pracy, dotychczas wyzyskane w stopniu bardzo niedostatecznym. Więc nie o likwidacyi, ale o wzmożeniu jak największej prężności żywiołu polskiego powinna tam być mowa!

Z literatury i sztuki.

Kazimierz **Tetmajer**: *Na skalnem Podhalu.* Wydanie jubileuszowe. 1914 r. Spółka Nakł. „Książka". Kraków.

Na „Skalnem Podhalu" Tetmajera ma za sobą nieomal, że małą biblotekę krytyk prac i badań, nie potrzebnem więc widzi mi się ponowne omówienie treści znakomitego dzieła. Nie nowele to bowiem są, nie fragmenty powieściowe. „Skalne Podhale", to nie ta, czy inna, do zenitu doskonałości doprowadzona forma literacka a — wielkie dzieło pisarza, umiejącego szczerem sercem ukochać, ogarnąć cały odłam narodu. Skrzywdziłoby się Tetmajera mówiąc, iż jeno szczerem sercem ogarnął tych górali-polaków. Uczynił więcej. Zrozumiał głęboko potężną, czystą, namiętną ich duszę, przyniknł czujnem uchem do słodkiej, groźnej ich piersi, zapamiętał przedziwnie mocno i serdecznie twardy ich język. Jeśli w ostatnich dziesiątkach lat w rozwoju naszej literatury byli twórcy, w których ogniskowało się wysłowienie całych odłamów narodu — to jednym z nich dzięki „Skalnemu Podhalu" stał się Tetmajer.

Otóż dzieło to tak wielu historycznych po prostu walorów pełne, doczekało się godnej oprawy. Trudno oprzeć się wzruszeniu przeglądając te gładkie śliskie, jakby wonne, ostrym charakterystycznym drukiem przesypane karty „Skalnego Podhala" w wydaniu „Książki". Rzecz tak wydana, obleczona w tak pod każdym względem świetną szatę świadczy o potrzebach i cnotach, gustach i upodobaniach, jakimi czytelniczy ogół polski, nie wiem, czy może się szczycić. Wytworna edycya „Skalnego Podhala" zdaje się świadczyć o wielkiem u nas do książek zamiłowaniu, zdaje się dowodzić zrozumienia książki jako dzieła sztuki, jako ozdoby domu. Ilustracye do tego wydania zrobili Leon Wyczółkowski i W. Koneczny. Tekst zawiera dwanaście barwnych odbitek krajobrazów Wyczółkowskiego. Odbitki te wykonano znakomicie, tak, że ów świetny pejzaż Wyczółkowskiego, niczem najrzadszy kilim, niczem nieporównane tło widzi czytelnik ustawicznie w trakcie czytania księgi. Ozdoby, sylwety i stylizacye robił p. W. Koneczny, utrzymując je może w nieco za twardym, lecz zawsze pełnym charakteru tonie.

Wydanie „Skalnego Podhala", tak ozdobne stylowe, stawia krakowską „Książkę" obok pierwszorzędnych firm zagranicznych tego rodzaju, a może i ponad niemi, jeśli się zważy trudności, z jakiemi krajowa firma borykać się musi.

Przypominam sobie z okazyi tego wydania radość, z jaką niedawno pokazywał mi świetny poeta belgijski Verhaeren edycyę swego „Okpiświata". Książka ta, tej wybornej edycyi doczekała się nie w Belgii, lecz w Niemczech. Kosztuje ona do 200 marek.

Świetne wydanie „Skalnego Podhala" w Polsce kosztuje bez porównania taniej i jest o wiele piękniejsze. Od nas teraz zależy dowieść poecie, który stworzył tę księgę, malarzom ilustratorom, świetnym drukarzom, słowem całemu światkowi, który się nad książką świat naszych gór przedstawiającą mozolił, od nas zależy dowieść, czy rozumiemy ten trud... Czy rozumiemy, że piękna książka narówni z ciepłem zespołu z serdecznością, stanowi czar naszego domowego ogniska.

Juliusz Kaden.

Polski Skarb Wojskowy.

Ukazało się (jako obszerna broszura) „Sprawozdanie Polskiego Skarbu Wojskowego" (za czas od 1 września 1912 r. do dnia 31 sierpnia 1913 r.). Jest ono ogromnie ciekawe jako materyał dla charakterystyki polskiego zbrojnego ruchu podczas ostatniego przesilenia.

Sprawozdanie przypomina, że hasło utworzenia Polskiego Skarbu Wojskowego padło na zjeździe polskich stronnictw niepodległościowych 25 sierpnia 1912 r. Lecz swe istnienie naprawdę ujawnił Polski Skarb Wojskowy dopiero 3 grudnia wśród ogólnego poruszenia umysłów, wywołanego wojną bałkańską i mobilizacyą mocarstw rozbiorowych; wyszła pierwsza odezwa Skarbu z podpisem Gierszyńskiego.

Jeśli podzielimy sprawozdanie według zaborów, to pokaże się, iż tylko w austryackim oparcie było niezawodne i pewne. „Tutaj — powiada broszura — było pełne zrozumienie sprawy i najwięcej energii czynnej, bo też tutaj byli ludzie z ideą walki oswojeni, więcej żyjący dla niej". Należy przytem do kwoty P. S. W., przypadającej na Galicyę (40 tysięcy) dodać wszystkie sumy, które przeszły przez urządzenia intendenckie wojskowych organizacyj, wydane na rynsztunek, ubiór i t. d.; w takim razie otrzymamy iloczyn ośmiokrotny sumy pierwotnej, ofiara Galicyi urasta z 40 tysięcy do 327 tysięcy. Jednak co się tyczy wysokości wpływów, te nie stały w żadnym stosunku do potrzeb, jakich wymagała sytuacya.

Płacili tylko ludzie niezamożni, a więc uboższa inteligencya, robotnicy, włościanie, studenci. Z Galicyi wpłynęły tylko 2 składki po 1000 K, 1 — 500 K, 1 — 300 K i około 40 składek powyżej 100 K. Większość składek są to datki drobne, najczęściej koronowe. W tych małych groszowych datkach — powiada sprawozdanie — wyrażał się często tani patryotyzm, który świadczył, że ogół nie rozumiał ani położenia, w jakieby wojna naród polski wtrąciła, ani celu i wartości naszej własnej siły, ani warunków jej stworzenia, ani też wysiłków, jakie ze strony społeczeństwa na to są potrzebne. Prób urządzenia zbiórki na ulicy i po domach trzeba było zaniechać, gdyż wywoływały liczne protesty i denuncyacye. Skutkiem tego wszystkiego suma ogólna wpływów była niedostateczną, jakkolwiek nastrój ugody i lojalizmu został przez nas w zaborze austryackim przełamany.

W zaborze rosyjskim P. S. W. nie mógł stworzyć stałej organizacyi. Wpłynęły na to zmęczenie porewolucyjne (zwłaszcza wśród inteligencyi zawodowej), bezwględne przejęcie się interesami państwowości rosyjskiej ze strony narodowej demokracyi, brak prasy jawnej, słaby stosunkowo stan organizacyj niepodległościowych i wreszcie świeże rozpoczęcie robót militarnych.

W zaborze pruskim było jeszcze gorzej, gdyż jest to zabór, psychicznie najmniej związany z innemi dzielnicami Polski. Dopiero pokolenie młodsze zrzuciło z siebie od lat paru brzemię tradycyi ugody i lojalizmu w polityce. Dokonano próby nawiązania bezpośredniej nici stosunków; wszelkie jednak najbardziej bezstronne propozycye zostały odrzucone.

Natomiast względnie dużo dała zagranica, gdzie zarząd Skarbu oparł się na unii młodzieży postępowej niepodległościowej. Tak samo Ameryka żywo się odezwała; do końca okresu sprawozdawczego nadesłano 95 tysięcy koron; działał tam Komitet Obrony Narodowej, powołany do życia prawie przez wszystkie organizacye polskie w Ameryce.

Rezultat ogólny jest ten, że w chwili najgorętszej wobec braku pieniędzy nie można było ani jednolicie ludzi umundurować, ani ich wyekwipować i uzbroić, ani wreszcie w dostatecznej mierze przygotować warunków, potrzebnych do stworzenia oddziałów tam, gdzie mają walczyć (w Królestwie), aby módz w chwili rozpoczęcia wojny oprzeć się na ludności miejscowej. Brak funduszów — powiada sprawozdanie — mściłby się okropnie, gdyby wypadło walczyć!

Sprawozdanie kończy:

„Ten stale powtarzający się w dziejach naszych fakt, że przed rozpoczęciem się jakiegoś ruchu nie umiemy go przewidzieć i doń się przygotować, a później zwalamy winę na brak przygotowań, musi w końcu stać się przestrogą dla narodu naszego.

Rozpoczęte przygotowania wojskowe, jeśli mają dojść do znaczenia istotnej siły, muszą być bez przerwy i bez wytchnienia dalej prowadzone. Trzeba w okresie pokoju przygotować skład oficerski przyszłej armii, trzeba opracować teren przyszłej walki, trzeba stworzyć organizacyę, rozrzuconą po całym kraju z jednostek nielicznych, ale najlepszych, najwpływowszych i rozumiejących tak kwestye taktyki boju, jak też i warunki boju, w których walka stanie się możliwą i prowadzącą do zwycięstwa. Należy przerobić naród i pod względem stopnia zrozumienia warunków przyszłej wojny i pod względem poczucia i zrozumienia, jaką się on siłą, gdy zechce, stać może!"

Z licznych zestawień rachunkowych przyta-

czamy tylko kilka cyfr. Razem w okresie sprawozdawczym wpłynęło do P. S. W. **142.255** koron. Z tego Kraków dał blisko 10 tysięcy kor. Lwów mniej-więcej tyleż samo.

W sprawozdaniu z działalności P. S. W. znajdujemy także „ogólne zestawienie wpływów i wydatków na prace przygotowawczo wojskowe". Pokazuje się, że razem wpłynęło do kasy P. S. W., Komendy Głównej, Polskiej Intendantury Wojskowej itd. **469.705** koron. W ten sposób blisko pół miliona koron wpłynęło do kas organizacyi zbrojnych i pomocniczych w okresie sprawozdawczym (1 rok).

K. CZAPIŃSKI.

Z WŁÓCZĘG TATRZAŃSKICH.

NA WYSOKIEJ.

...Zlejesz swą duszę z duszą Tatr
I ciszej będzie w duszy.

Przez Rysy na Wysoką i Ganek! — taka była marszruta naszej ostatniej tegorocznej letniej wycieczki. Wybraliśmy się we czwórkę, w tej liczbie dwie młode panie, słuchaczki.

— Panie na Wysoką? To niemożliwe! uśmiechnął się przy Morskiem Oku pewien spotkany znany taternik. — Byłem tam wprawdzie tego roku, ale musiałem zrezygnować z drogi zwykłej — żleb na Wysokiej cały zawalony jest śniegiem. Musiałem włożyć trzewiczki skalne i iść granią przez Czeski Szczyt. Nie przejdziecie, państwo, to darmo!

Ale nasze panie jakoś się nie zlękły. Wogóle przecie poziom turystyki kobiecej się znacznie podniósł, i taterniczki dzisiejsze zrywają wprost boki ze słynnych zdań starego Eliasza (w jego przewodniku). Rysy — powiada Eliasz — mogą być uważane za koronę wypraw płci pięknej. (Cytuję z pamięci). Cóż bowiem przyjdzie nadobnym turystkom z tego, że swą zgrabną nóżką nadepczą nagi czub Łomnicy lub Garłucha. Myśl bowiem o powrocie tak zamąci im umysł, że nie będą w stanie rozkoszować się widokiem ze szczytu.

Jakże dziś się stosunki zmieniły!

Mniejsza zresztą o to. Spędziliśmy wieczór na łódce, objeżdżając jezioro. Nazajutrz wstaliśmy o 4-tej rano. Pogoda... jaka pogoda? — to najważniejsze! Zdaje się, niczego sobie. Cisza dokoła; „cepry" sobie spokojnie śpią po schroniskach. Tylko towarzystwo rosyjskie, które ulokowało się u Burowej, już wstało i je śniadanie; również wyrusza na Rysy.

Zaczynamy sunąć do góry. Jesteśmy przy Czarnym Stawie, przechodzimy przez śnieg i pniemy się coraz wyżej. Wchodzimy w żleb i mozolnie „wydzieramy" do góry. Niestety! chmurki już się spuszczają na okoliczne szczyty — na Mięguszowiecki, na Rysy. Dochodzimy do klamr, szybko walimy wciąż wyżej, wyżej — i po 3 i pół godzinach jesteśmy na Rysach.

Piekielnie zimno. Widok z Rysów jest słynny, lecz w danym razie nie widać absolutnie nic, nawet sąsiadów. Dwóch Węgrów z ponurymi minami stoi zaszywszy się pomiędzy głazami. Coraz to zimniej i ciemniej. Nadchodzą Rosyanie i zaczynają gotować herbatę ze śniegu. Humory kiepskie. Jedna z naszych turystek złotowłosa blondyna, w męskim oczywiście stroju, drży jak liść i dla dodania sobie animuszu wyśpiewuje o skrzypeczce:

Danaż moja dana,
Skrzypeczko kochana,
Taka rzewna, taka śpiewna,
Taka ukochana!

Ale rezonansu niema... — Może ruszyć dalej? — niecierpliwi się ktoś. — Poczekajmy jeszcze chwilę, mówię, może się odsłoni.

Gdzie tam! Ponuro się przewala gąszcz mgły. Czasami uniesie wiatr szmat tego gąszczu i zamajaczy fragment jakiejś pobliskiej grani, odsłoni się przepaść pod nogami. A za chwilę znowu jesteśmy w wilgotnym uścisku. Piekielnie zimno. Upływa tak godzina. Węgrzy spluwają i zaczynają schodzić „na polską stronę", starannie się wypytując, czy naprawdę takie trudne zejście z tej „Meeraugespitze" i czy znaki czerwone nie są czasem mylne.

Trzeba ruszać. Wory na plecy i zbiegamy w dół na pobliską przełęcz, na Wagę. Zaglądamy z przełęczy do Czeskiej Doliny, mgła trochę zrzedła. Na przełęczy piętrzy się jeszcze fantastyczny nawis śnieżny, podcięty od Czeskiej. A zaraz tu w kotlince pobliskiej śniegi olbrzymie, kolosalne płachty — jak okiem rzucił. Czy mamy iść dalej na Wysoką? Mgła znowu się zgęszcza, zaczyna mżyć deszczyk. Paskudnie, psia krew!

No ale jednak idziemy. Wycieczka ostatnia, nie będzie już sposobności, zostaniemy bez Wysokiej. Trzeba raz zobaczyć ten słynny żleb, który broni swymi śniegami dostępu do szczytu. Zrzucamy worki, pakujemy je na przełęczy między głazy i we mgle pniemy się wyżej. Przechodzimy kominek pod „kogutkiem", złazimy na drugą stronę i idziemy przez pewien czas w dół lub poziomo, trawersując liczne płaty śniegu. Strasznie dużo śniegu było w tym sezonie! Koniec sierpnia, a tu go wszędzie tyle!

No, wreszcie jesteśmy przy żlebie! Przyglądamy się z zainteresowaniem temu żlebowi, który tak imponująco przedstawia się, gdy patrzymy na przepiękną piramidę Wysokiej od Szczyrbskiego jeziora. Śnieg stromy, twardy i iść nim do góry niepodobna. Więc może bokiem, grzędą? Ostrożnie przechodzimy żleb w poprzek i zaczynamy wydzierać do góry po głazach i stromych płytach. Nie, dalej tak się nie da! Znowu się spuszczamy do żlebu, włazimy do szpary, utworzonej pomiędzy nim a boczną ścianą żlebu i zaczynamy z trudem brnąć, nic nie widząc dokoła, wśród gęstej mgły, po śniegu. Upływa kwadrans, drugi. Szpara się zwęża i dalej „nie puszcza".

Co robić? Wydobywamy się z trudem znów na grzędę i pniemy się jednak dalej. Krople wilgoci osiadają na ubraniu, ręce fatalnie ziębną. No, jesteśmy u końca żlebu. Teraz jeszcze raz przechodzimy, zachowując wielką ostrożność i ubezpieczając się liną przez końcowy język zlodowaciałego śniegu i jesteśmy już niedaleko szczytu. Najtrudniejsze poza nami!

Po chwili jesteśmy na szczycie. Widok z Wysokiej podobno cudowny; jedyna w nim luka — jak mawiał, zdaje się, Chałubiński, że nie widać samej Wysokiej. Lecz my naturalnie nic absolutnie nie widzimy. Jesteśmy troszkę dumni z tego, że „wzięliśmy" ów żleb i zgrabiałemi rękami skręcamy linę. Niewiasty przytulają się do siebie i rozcierają sobie ręce. Jedna z nich jednak jest widocznie porządnie wyczerpana nerwowo; tuli się do drugiej i prosi, jak dzieciak:

— Proszę mnie pocałować!

Wiatr goni i kręci dokoła tą piekielną mgłą. Drżymy jak osiki całem ciałem. Wydobywamy czekolady z kieszeni i gryziemy ten czarny chleb taternicki.

— A, do dyabła! Żeby choć coś zobaczyć!

Dokoła — wszak wiemy dobrze — wznoszą się szczyty Szatana, Mięguszowieckich, Ganku, Żłobistego, ścielą się piękne doliny — Czeska, Biała Woda, Złomiska, Mięguszowiecka; jeziora błyskają tu srebrem w pogodny dzień słoneczny — Szczyrbskie, Zmarzły Staw w Złomiskach. A tu nic!

I jednak jakoś dziwnie dobrze na duszy. Zapomniało się o wszystkiem. Tu człowiek sam na sam z surową przyrodą. Słusznie wywodzi ostatni „Taternik", że właśnie w tem zapomnieniu o życiu powszedniem, o tych miejskich troskach i bólach, w tej potrzebie bezpośredniego obcowania z potęgą przyrody, zmierzenia sił, w tem pozostaniu sam na sam z żywiołami, w tem odnalezieniu swej pierwotnej indywidualności, przytłoczonej warunkami codziennego żywota — tkwi źródło ideologii spółczesnego taternictwa. Walka, czyż nie jest to słowo kluczem? Budzą się uśpione siły w człowieku. Przypomina się mi amerykański poeta Whitman, który umiał śpiewać natchnione hymny walce — tej „matce życia potężnej i świata władczyni"...

No, ale dłużej wytrzymać na szczycie niepodobna. Przemarzliśmy do cna. Zaczynamy schodzić. Owej wyczerpanej pani starannie pomagamy w miejscach trudniejszych. Na śniegu asekurujemy się liną. Pokonujemy miejsca trudne. Wkrótce jesteśmy z powrotem na Wadze. Wydobywamy worki i zjadamy „obiad". Mgła zaczyna się rozpraszać. Ślicznie wygląda Czeska. Z Rysów schodzą grupy znajomych turystów, witając się z nami. Do góry pnie się trójka młodych taterników po nieudałej wycieczce na Żabiego Konia.

Bierzemy, czekany i zjeżdżamy szybko śniegiem w dół, a później serpentynami ścieżki gonimy w dół godzinę, drugą. Z krainy martwej, śniegu i granitów, przybywamy wkrótce na łagodne trawniki, pokryte kwiatami. Wchodzimy w kosówkę. Ciemnieje, gubimy ścieżkę na chwilę. I drałujemy wciąż dalej — dalej, wśród smreków i kosówki, gęstym lasem. Mrok. Szeleści wiatr w kosówkach. Gdzieś huczy potok po kamieniach. Gwiazdy zapalają się na niebie. Tu, w dolinie ciepło. Wesoło brzmi urywana rozmowa, rytmicznie stuka aluminiowy kubek, przywiązany do worka na plecach. Gonimy wciąż szybciej. Skręt — i oto stoimy przed schroniskiem węgierskiem przy Jeziorze Popradzkiem. Jesteśmy — „w domu"...

Po kolacyi zbieramy się — nasza czwórka — na werandzie. Ciemna, czarna noc dokoła. — U nóg naszych toń jeziora; przed nami zarysowuje się bezkształtna sylwetka Osterwy na drugim brzegu. Cisza; tylko pluska coś na jeziorze. Dokoła lasy świerkowe, limby, kosówka. Tajemniczo majaczą różne sylwetki szczytów i drzew. Długo jeszcze trwa cicha rozmowa. Jutro — na Ganek. Mówimy jednak przeważniej o Wysokiej. I wydaje się nam coraz bardziej, że w tej pustce, w tych śniegach, piargach, granitowych złomach, w tej mgle zostawiliśmy coś niesłychanie pięknego, jakiś urok niezwykły, którego nie wynagrodzi ta łagodna, romantyczna dolina ze swemi jeziorami. Wysoka... było tam tak zimno, ponuro, trudno, a już czujemy, że wspomnienie na długo w nas pozostanie, że coraz silniej znowu będzie nas ciągnęło w tę pustynię skalną i śniegową.

Zasypia już całe schronisko. Byliśmy na nogach od świtu do późnego wieczora, jesteśmy pomęczeni, jutro Ganek — ale jeszcze się nie rozchodzimy. Coś zespoliło nas — wspólny trud, niebezpieczeństwo, dziwne przeżycie? Nie rozchodzimy się długo i w nocnym mroku wciąż wspominamy — Wysoką...



Po zapytaniu posła I r o co do groźby użycia § 14, prezydent zamknął posiedzenie, życząc posłom wesołych świąt. Następne posiedzenie odbędzie się **29 grudnia.**

* * *

Demokraci w obronie p. Jaworskiego.

„Polnische Nachrichten“ donoszą: Grupa polskich demokratów ogłasza, że ubolewa nad tem, że p. Jaworski, który ze względu na swoją przeszłość, swoje zdolności i zasługi dla Koła polskiego zasługuje na największe uznanie, wskutek okoliczności widział się zmuszonym złożyć mandat poselski. Grupa demokratyczna aprobuje oświadczenie swego przewodniczącego, złożone w komisyi parlamentarnej Koła, że p. Jaworski do swoich poprzednich zasług dodał jeszcze i tę, **że z poświęceniem własnej osoby** przyczynił się do uspokojenia rozdrażnionych umysłów w Kole polskiem i do złagodzenia ostatniego konfliktu, który mógł mieć nieprzewidziane skutki.

KRONIKA.

Środa 24 grudnia.

Szanownym Abonentom i Czytelnikom „Naprzodu“ zasyłamy serdeczne życzenia: Wesołych Świąt. Następny numer „Naprzodu“ wyjdzie w sobotę 27 b. m. w południe.

„Nie mam czasu!“ Posłowie czescy opowiadają, jako świadkowie naoczni, następującą historyjkę z parlamentu:

W poniedziałek posłał minister **Długosz** służącego parlamentarnego z biletem swoim do zastępcy ministra finansów barona **Engla**, prosząc go o chwilę rozmowy. Zastępca ministra odpowiedział krótko, ale dobitnie: **Nie mam czasu dla p. Długosza!**

Biurokrata wiedeński miał już dość towarzystwa nafciarego aferzysty i chociaż byli przy tem posłowie, dał mu przez lokaja odpowiedź powyższą, po której chyba Długosz nie ma już żadnych złudzeń co do swego stanowiska...

Nowiny krakowskie.

Towarzystwo przyjaciół dzieci. W lokalu Uniwersytetu Ludowego dnia 19 b. m. odbyło się staraniem Komitetu politycznego równouprawnienia kobiet zebranie organizacyjne mającego powstać „Towarzystwa przyjaciół dzieci“. Na zebraniu podniesiono, że konieczność stworzenia warunków odpowiednich dla dzieci, których matki zajęte są pracą zarobkową, zrodziła inicyatywę w tej sprawie zarówno w kom. polit. równouprawnienia kobiet, jak i w sekcyi kobiecej P. P. S. D., gdzie postanowiono urządzić „dom dziecięcy“, t. j. ochronkę nowego typu. Celem powstającego towarzystwa ma być popieranie i społeczne organizowanie wychowania dzieci zgodnie z zasadami pedagogii, opartej na psychologii dziecka i zmierzającej do zapewniania każdej jednostce swobodnego rozwoju fizycznego, moralnego, estetycznego i umysłowego przez zakładanie w Krakowie „domów dziecięcych“ dla dzieci w wieku przedszkolnym i klubów dziecięcych dla zajęcia dziatwy starszej w godzinach pozaszkolnych przez urządzanie wycieczek, zabaw, odczytów, kolonii letnich dla dzieci i t. p. Jednem słowem nowo powstające towarzystwo ma objąć te zadania, które spełnia krzewiące się w ciągu lat ostatnich tak bujnie w Austryi w sferach robotniczych towarzystwa „Kinderfreund“. W dyskusyi poruszono sprawę charakteru towarzystwa, czy ma ono być filantropijnem czy na samopocy społecznej opartem. Ogół wypowiedział się za tem ostatniem stanowiskiem. Dlatego też nie będzie towarzystwo przyjaciół dzieci dawało nic darmo i dążyć będzie do pozyskania członków wśród tych, którzy z niego korzystać będą. Ostateczną redakcyę i sprawę ulegalizowania statutu powierzono Komisyi, do której weszli Malisz, Morecki, Okołowiczówna i Weychert-Szymanowska.

Bliższych wiadomości o towarzystwie zasięgać można w biurze porady pedagogicznej przy Uniwersytecie Ludowym (Dunajewskiego 7) we środy od 7—8.

Uregulowanie komunikacyi ulicznej. Po otwarciu nowych linii tramwajowych należało unormować ruch kołowy na ulicach, gdzie krzyżuje się kilka linii tramwajowych. W tym celu odbyła się dnia 22 bm. komisya, złożona z reprezentantów gminy, magistratu, policyi i wojskowości, poczem odbyła się konferencya, na której ustalono nowe stanowiska dorożek, dalej uchwalono zamknąć pl. Maryacki, ul. Floryańską i Sławkowską dla ruchu wozów ciężarowych, a otworzyć dla tego ruchu ul. Sienną i św. Jana. Dalej uchwalono pomieszczać na zbiegu ulic przy nowych liniach tramwajowych napisy z zakazem szybkiej jazdy.

Konferencya postanowiła następnie odnieść się do policyi o ustanowienie zamiast dotychczasowych posterunków rejonowych (ruchomych) posterunków stałych koło gł. poczty, w M. Rynku u wylotu ul. Floryańskiej i Sławkowskiej na skrzyżowaniu ul. Grodzkiej z pl. Dominikańskim i WW. Świętych oraz na zbiegu ulic Karmelickiej, Dunajewskiego i Podwala.

Wieczór sylwestrowy w Krakowie w salach Starego Teatru zapowiada się jako zabawa niezwykle ożywiona i interesująca. W program wchodzą popisy wokalne i deklamacyjne artystów teatru i wybitnych sił amatorskich. Ta część kabaretowa poprzedzi powitanie Nowego Roku oraz zabawę urozmaiconą tańcami. Co do zaproszeń należy zaznaczyć, że syndykat dziennikarzy krakowskich nie rozsyła ich, lecz będzie je wydawał zgłaszającym się, a to bądź pisemnie pod adresem „Syndykat Dziennikarzy krakowskich, Kraków, Rynek 10“, bądź też osobiście w kancelaryi koncertowej Starego Teatru (I. piętro wejście od pl. Szczepańskiego) w niedzielę, poniedziałek, wtorek i środę dnia 28, 29, 30 i 31 bm. Dni te są przeznaczone także na odbieranie zaproszeń zamówionych kartkami. Zaproszenia będą numerowane, w liczbie ograniczonej, aby zapobiedz przepełnieniu sali. Wstęp wraz z podatkiem gminnym kosztować będzie koron 4, bilety familijne na 4 osoby po 10 koron. Pod tym samym adresem co o zaproszenia, zgłaszać się można o miejsca na galeryę, kosztujące w pierwszym rzędzie koron 5, w następnych po 4 wraz z podatkiem gminnym.

Repertuar teatru miejskiego.

Środa: Teatr zamknięty.
Czwartek popoł.: „Betleem polskie“.
Czwartek wieczór: „W szponach życia“.
Piątek popoł.: „Kościuszko pod Racławicami“.
Piątek wieczór: „Pieśń królewska“.
Sobota popoł.: „Ksiądz Marek“.

Nowiny lwowskie.

Zasypanie robotnika w kanale. W poniedziałek w południe przy robotach kanałowych w ul. Ormiańskiej usunęła się ziemia, zasypując trzech robotników. Stało się to w następujących okolicznościach: Po spożyciu obiadu weszli do wykopu: Józef Kuczer, Julian Kozłowski i Piotr Rudy. Kuczer i Kozłowski pracowali na sklepieniu starego kanału, Rudy zaś o trzy metry poniżej sklepienia. Wykop był u górnych brzegów należycie podstemplowany, lecz nagle zawaliło się sklepienie starego kanału, skutkiem czego usunęła się ziemia, opierająca się na sklepieniu i zasypała wszystkich trzech robotników. Kuczer wydostał się i począł wołać o pomoc. Zaalarmowano pogotowie i straż pożarną. Po kilkunastu minutach wydobyto Kozłowskiego. którego z powodu silnych stłuczeń pogotowie przewiozło do szpitala. Pod ziemią był jeszcze Rudy, zasypany około trzy metry grubą warstwą ziemi i kamieni. Pomimo że nie było nadziei ocalenia Rudego, pracowano gorączkowo dalej i po dwugodzinnej pracy odgrzebano głowę Rudego, który był jeszcze przy życiu, był jednak bezprzytomny i wołał, aby przywołać siostrę jego, aby się mógł pożegnać. Wlano mu w usta koniaku i pracowano dalej. Rudy zawdzięcza swe ocalenie temu, że zawalone kamienie sklepienia utworzyły nad głową jego rodzaj sklepienia, które uchroniło go przed uduszeniem ziemią.

Repertuar teatru miejskiego.

Czwartek popoł: „Betleem polskie“.
Czwartek wieczór: „Wesoły małżonek.
Piątek popoł.: „Małżeństwo Loli“.
Piątek wieczór: „Krysia leśniczanka“.

Teatr Świetlny Złuda — Rynek, Pałac Spiski — w świątecznym programie daje niezwykle interesujące utwory jak momenty z życia i walk Napoleońskich, największy i najwspanialszy film historyczny, w którym bierze udział 30.000 osób, oraz niezwykle interesujące widoki z Indyi i wiele innych interesujących obrazów.

TELEGRAMY

z 24 grudnia.

Zwołanie sejmu chorwackiego.

Zagrzeb. (Doniesienie węgierskiego Biura korespondencyjnego). Dzisiaj po południu ogłosi dziennik urzędowy „Narodni Nowiny“ reskrypt cesarski, zwołujący sejm na dzień 27 grudnia b. r. Uroczyste posiedzenie sejmu, które zacznie sesyę sejmową odbędzie się dnia 27 grudnia o godz. 11 przed południem.

Poraż w uniwersytecie warszawskim.

Warszawa. W laboratoryum uniwersyteckiem wybuchł ubiegłej nocy pożar, który udało się straży pożarnej zlokalizować. Spalił się tylko dach na laboratoryum.

Parlament francuski.

Paryż. Komisya budżetowa przyjęła prowizoryum budżetowe. W dyskusyi oświadczył minister finansów C a i l l a u x, że odrzucenie 2-miesięcznego prowizoryum byłoby wotum nieufności dla rządu i dodał, że wypracuje nowy plan finansowy bez zwiększenia bezpośrednich podatków.

Ustąpienie Delcasse'go.

Paryż. „Petite Parisien“ donosi, że następcą Delcasse'go na stanowisku francuskiego ambasadora w Petersburgu będzie dyrektor w ministerstwie spraw zagranicznych Margerie,

Strejk manifestacyjny.

Rewal. Strejk w fabryce wagonów Dwigatel doprowadził do z a m k n i ę c i a tej fabryki. — 1400 robotników wydalono.

Pożar w kopalni węgla.

Władywostok. Od 8 dni w kopalniach węgla kamiennego trwa pożar. Właściciel przypuszcza, że ogień został podłożony. W kopalniach tych pracuje 200 Chińczyków. Podczas wybuchu pożaru 50 z nich znajdowało się w kopalni.

NADESŁANE

Z rosyjskich mordów więziennych.

Z katorgi orłowskiej.

Coraz to nowe fakta strasznych carskich mordów więziennych, coraz to nowe szczegóły przedostają się na szpalty prasy zagranicznej i rosyjskich pism nielegalnych. Najsmutniejszą sławę zdobyło sobie orłowskie centralne więzienie katorżnicze. „Naprzód“ pisał o niem już niejednokrotnie. Obecnie znowu nowe szczegóły podaje ostatni numer pisma „Byłoje“ Burcewa.

W Orle więźniów mordowano i torturowano stale. Naturalnie ta niesłychana śmiertelność w orłowskiem więzieniu w statystyce więziennej (oficyalnej) jest w odpowiedni sposób spreparowana. Wszystkich tych, którzy zostali zamordowani przez dozorców, więzienny lekarz zapisywał jako zmarłych na suchoty.

Polityczny katorżnik S. po dłuższem torturowaniu przez dozorców zgłosił się do lekarza więziennego. Ten oświadczył, że S. ma suchoty. Wówczas nieszczęśliwy wskazał lekarzowi, że mu płuca poodbijali dozorcy butami i pięściami. Na to lekarz:

— To pana prywatna sprawa i mnie to nie obchodzi.

Więźniowie byli w Orle tak steroryzowani, że bali się poprostu rozmawiać z sobą. Trudno więc było dowiedzieć się, jak się nazywają zamordowani. „Buduszczeje“ podaje jednak mnóstwo nazwisk ofiar orłowskich.

Bywały także wypadki, że jeśli nie można było zataić faktu pobicia, w takim razie winę składano na innych więźniów. Zamordowali dozorcy pewnego razu więźnia, którego popularnie we wspólnej celi nazywano „dorożkarzem“. W danym razie lekarz oświadczył (był to jeszcze początek mordów i lekarz nie przystosował się jeszcze dobrze do swej roli), że „dorożkarz nie zmarł śmiercią naturalną, lecz został zamordowany. Cóż się dzieje? Dozorcy wywołują z celi, gdzie siedział „dorożkarz“ dwóch więźniów, i karzą im po okrutnem obiciu oświadczyć, że właśnie sami więźniowie z zemsty zamordowali „dorożkarza“.

Podobno przy przyjmowaniu nowej partyi (etapu) naczalstwo samo rozkazywało, kogo należy bić do śmierci. W każdym razie katowano najokrutniej tych, którzy przybywali do więzienia z ujemną „charakterystyką“ na odnośnym papierze. Sami dozorcy mówili, że z góry wskazywano, kogo należy zamordować. Np. po śmierci katorżnika Warenika, dozorcy przyznawali się, iż Warenika kazano zabić.

Administracya więzienia wogóle bardzo chętnie podkreślała wobec więźniów, iż ma prawo zabić każdego, kogo chce.

— Wszystkich wystrzelamy! Zastrzelę jak psa!

Takie pogróżki powtarzały się codziennie. Starszy dozorca Koslenkow dochodził wprost do artyzmu w swych pogróżkach:

— **Dusze wasze na portki wypuszczę** — krzyczał. — **We krwi waszej będę się kąpał!**

A specyalną orłowską formułą była następująca:

— **Chwycę cię za kajdany — i głową o ścianę!**

Gdy pewien więzień rozpoczął strejk głodowy, pomocnik Annienkow oświadczył:

— Zgnijesz tu u nas pod asfaltem. Nikt nawet wiedzieć nie będzie!

I wśród więźniów kursowała pogłoska, że istotnie zamordowanych administracya zakopuje w ziemię na dziedzińcu pod asfaltem. Wskazywano nawet miejsce.

Nietrudno zrozumieć, że wielu z więźniów wpadało w obłęd. Zazwyczaj dostawali manii prześladowczej. Wydawało się im, że już podchodzą dozorcy i chcą ich zabić. I po wszystkich korytarzach więziennych rozlegały się okrzyki nieszczęśliwych:

— Mordują! Mordują!

Niektórzy z nich zostali dobici przez dozorców. Inni sami popełnili samobójstwo. „Buduszczeje“ podaje cały szereg nazwisk ludzi, którzy w orłowskiej katordze dostali obłędu; naturalnie, to tylko drobna część...

Lekarz więzienny, jak widzimy, popierał wszystkie zbrodnicze kroki administracyi. Pewnego więźnia, politycznego oczywiście, który wpadł w obłęd, administracya chciała ukarać chłostą. Zainterpelowano felczera (wystarczał bowiem nawet felczer). Ten orzekł, że więzień jest zdrów i nieszczęsną ofiarę (ciężko chorego!) strasznie skatowano!

Straszne rzeczy dzieją się w tej „konstytucyjnej“ Rosyi. Objektywnie całkiem musimy przyznać, że w Rosyi absolutystycznej, bezdumskiej, przedrewolucyjnej takich stosunków nie było; w każdym razie nie były to stosunki codzienne. Dopiero Rosya porewolucyjna, dopiero teraz carat pokazał, co umie...

Z represyj prasowych w Rosyi.

Setny numer gazety robotniczej.

Ukazał się w Petersburgu setny numer socyalno-demokratycznego dziennika (frakcyi mieńszewików) „Nowaja Roboczaja Gazieta“. W jakich trudnych warunkach walczy rosyjska prasa robotnicza, pokazują obliczenia następujące, które znajdujemy w setnym numerze.

Z 99 numerów 25 (czyli **jedna czwarta część**) nie doszła do czytelników dzięki konfiskatom. Za artykuły konfiskowano 12 razy, za kronikę (najczęściej za kronikę strejkową) 14 razy, za stenogramy dumskie (!) 1 raz. Coraz częściej konfiskuje się za kronikę. Władze starają się przeszkodzić zwykłemu informowaniu robotników o tem, co się dzieje z ich towarzyszami w innych fabrykach.

Pozatem nakładano grzywny. Jedna grzywna przypada na każde sześć numerów dziennika. Ogólna kwota wynosi 8500 rubli, czyli cztery lata i 3 miesiące więzienia. Redaktorzy więc odsiadywali przeciętnie **15—16** dni za każdy wydany numer. Wydawnictwo musiało 13 razy zmienić redaktorów. Oprócz odsiadywania kary na skutek rozporządzenia administracyjnego, redaktorzy mają jeszcze sprawy sądowe.

Rezultat ostateczny: z 99 numerów wyszło bez przeszkód tylko 57, czyli przeszło połowa.

W takich to niesłychanie trudnych warunkach walczy rosyjska prasa robotnicza. Stoi tylko niezwykłą ofiarnością robotników, którzy obejmują posterunki redaktorów, wiedząc dobrze, co im grozi w najbliższej przyszłości. Jak wiadomo, w swym nowym projekcie prasowym rząd żąda, aby redaktor pisma miał conajmniej wykształcenie średnie; jak widzimy, jest to cios skierowany wyłącznie przeciw prasie robotniczej.

W podobnych warunkach walczy drugi petersburski dziennik robotniczy „Za Prawdę“.

Dużo ofiar składają rosyjscy robotnicy w walce o swą prasę: rozumieją bowiem, jaką potęgą jest dla ruchu robotniczego własna, robotnicza prasa!

Ze stowarzyszeń i zgromadzeń.

* **Odznaki, breloki i szpilki** metalowe P. P. S. D. są do nabycia u skarbnika komitetu miejscowego P. P. S. D., Dunajewskiego 5, II. p., oficyny na prawo, codziennie od godz. 7 do 9 wieczór.

* **Tradycyjna zabawa sylwestrowa**, jak co roku odbędzie się we środę dnia 31 grudnia b. r. w salach Związku Stowarzyszeń robotniczych, Dunajewskiego 5. Spodziewamy się, że wszyscy Towarzysze i Towarzyszki na tę partyjną zabawę przybędą, tembardziej, że program tego roku będzie nadzwyczaj urozmaicony. Bliższe szczegóły ogłoszone będą w komunikatach.

* **Stowarzyszenie „Wzajemna Pomoc emigrantów-Polaków z zaboru rosyjskiego w Krakowie“** urządza we czwartek 25 grudnia b. r. w lokalu Związku stow. rob. (ul. Dunajewskiego 5, II. p.) zabawę gwiazdkową dla swoich członków i ich rodzin. Program: tańce, gry towarzyskie, poczta, loterya fantowa. Początek o godz. 8 wieczorem.

* **Baczność piekarze!** W piątek 26 b. m. o godz. 1 w południe odbędzie się w lokalu Stowarzyszenia w Krakowie przy ul. Skałecznej 5 **publiczne zgromadzenie** z porządkiem dziennym: Ustawodawstwo ochronne piekarzy.

* **Wiedeń.** Stowarzyszenie robotników polskich „Siła“ urządza we czwartek (pierwszy dzień świąt) 25 b. m. zabawę świętalną w sali „Terrassen“ V. Margaretenplatz 4, z następującym programem: 1. Słowo wstępne. 2. Deklamacya. 3. Odegrane zostaną „Debiutantka“ i „Czuła struna“. 4. Kuplet „Gody Galilejskie“, poczem nastąpią tańce. Wstęp 80 h. O liczny udział uprasza komitet.

Komunikaty lwowskie.

* **Wieczór sylwestrowy.** Staraniem Komitetu miejscowego P. P. S. D. urządzony zostanie tradycyjny Wieczór sylwestrowy. Komitet P. P. S. D. zwraca się do wszystkich organizacyi, by w dzień ten, przeznaczony wyłącznie zabawie wspólnej, u siebie zabaw nie urządzały. O programie zabawy, sali, biletach wstępu, doniosą specyalne komunikaty.

Potrzeba chłopców do roznoszenia „Naprzodu“.

Wydawca: **Ignacy Daszyński.** — Redaktor odpowiedzialny: **Leon Misiołek.** **Drukarnia Ludowa, Kraków,** Dunajewskiego 5 (Telefon 1310).